

WSTĘP

„Musimy obudzić duchy wielkich ludzi, którzy kiedyś tu żyli i działali, przywołać w pamięci ich czyny i cierpienia, wraz z nimi zwiedzać zaułki, domy, synagogi.”

Minęło już kilka dziesiątków lat od czasu, kiedy żydowscy mieszkańcy Lublina tragicznie i na zawsze zniknęli z krajobrazu tego od zawsze wielokulturowego miasta. O ludziach, którzy w tym mieście, w tym szczególnym na kulturowej mapie Polski miejscu żyli nie sposób jednak zapomnieć. Dlatego też twórcy książki, którą Państwo przed sobą mają, przywołali słowa Majera Bałabana. Wraz z nim pragną przywołać pamięć o ludziach, o całej społeczności, która współtworzyła przez wieki kulturę i życie codzienne Lublina.

Zawarte w niniejszej książce artykuły o charakterze popularno-naukowym prezentują wybrane zagadnienia z zakresu historii i tradycji Żydów lubelskich. Wyjątek w tej kwestii stanowi szkic Symchy Wajsa pt. „Żydzi w Lublinie w przededniu II wojny światowej”, będący wspomnieniem człowieka, który spędził w tym mieście dzieciństwo i młodość.

Główny trzon historyczny publikacji stanowią dwa teksty. Pierwszy z nich, autorstwa Roberta Kuwałka, nosi tytuł „Przemiany społeczno-kulturalne w środowisku Żydów lubelskich w XIX i XX wieku” i stanowi dogłębne studium prezentujące tytułowe zagadnienie. Drugi zaś, napisany przez Tadeusza Radzika, pt. „Żydzi lubelscy w społeczności miasta od XVI do XX wieku” prezentuje w ujęciu porównawczym status społeczności żydowskiej na przestrzeni pięciu wieków jej obecności w Lublinie.

Pozostali autorzy koncentrują swoje rozważania na kulturze Żydów zamieszkujących Lublin i okolice. Jaki związek z tymi miejscami mieli pisarze Isaac Bashewis Singer, Jakub Glatsztajn, Icchak Leib Percec, Szalom Asz – Czytelnik dowie się w szkicu o literaturze żydowskiej Moniki Adamczyk-Garbowskiej. Warto wspomnieć, że postać poety Jakuba Glatsztajna piszącego w języku jidysz jest zupełnie nieznaną polskiemu czytelnikowi, a szkic M. Adamczyk-Garbowskiej zawiera również wiersze tego poety w tłumaczeniu autorki i Stanisława Wygodzkiego. Badacz cmentarzy żydowskich w Polsce Andrzej Trzeciński przybliży Czytelnikowi wartości historyczne, religijne i artystyczne starego cmentarza żydowskiego w Lublinie. Na końcu książki zamieszczone są graficzne rekonstrukcje polichromii nagrobków również autorstwa Andrzeja Trzecińskiego m. in. macewa słynnego cadyka Icchaka Jakuba Horowica zwanego „Widzącym z Lublina”. Reneta Bartnik w artykule pt. „Malarze żydowscy w zbiorach Muzeum Lubelskiego” kreśli biografie żydowskich artystów Henryka [Hersz] Lewensztadta, Yehudy Rozgoura oraz Symchy [Binem] Trachtera. W części ikonograficznej znajdują się reprodukcje prac malarskich prezentowanych na wystawie pt. „Świece na wietrze” w grudniu 1994 roku w Muzeum na Zamku Lubelskim. W niniejszej publikacji znajdą Państwo również archiwalne fotografie przedstawiające mieszkańców Żydowskiego Miasta w Lublinie.

* * * To Miasto już nie istnieje, nie ma już jego żydowskich mieszkańców. Jedyne,

co pozostało to ślady, a raczej okruchy ich obecności w grodzie nad Bystrzycą. Zobaczyć je może każdy. My proponujemy Państwu inną podróż, podróż dla wybranych, podróż oczyma wyobraźni do odległych czasów. Tylko w ten sposób można zobaczyć i przeżyć dzieje tej małej części Narodu Wybranego. Tylko wtedy można usłyszeć, jak...

„Za Bramą Żydowską

w krętym zaułku
stoi śpiewak uliczny i śpiewa...
Śpiewa o podniesionej prawicy Mojżesza,
o nienawiści, która nie daje światu spokoju,
o Bogu, który stworzył miłość,
o ziemi Micraim
i wszystkich jej plagach,
o skargach wiecznie głodnych dzieci,
o ostatnich ciężkich zawieruchach,
o synach, którzy giną w odległych stronach,
o matkach w żałobnych strojach...”.

Żydowska Gmina Wyznaniowa w Lublinie od wieków słynęła ze swojej tradycji, zamożności i bogatego życia religijno-kulturalnego. Jej imię rozstawiły w wiekach XVI i XVII istnienie tutaj jesziwy, znanej nawet poza granicami Rzeczypospolitej i fakt obradowania w Lublinie Waad Arba Aracot – Sejmu Czterech Ziem, stanowiącego reprezentację żydostwa polskiego. Tu ściągali najwybitniejsi rabini i uczeni, a obok nich, ze względu na ożywiony ruch handlowy, osiedlali się tu zamożni kupcy i rzemieślnicy. W ten sposób rosło bogactwo i sława Żydowskiego Miasta w Lublinie.

Niestety, po wojnach XVII w., a zwłaszcza po tragicznym roku 1655, kiedy to żydowskie Podzamcze zostało całkowicie zniszczone przez wojska moskiewskie, lubelska gmina żydowska nie odzyskała już dawnej świetności co nie znaczy, że całkowicie utraciła na swoim znaczeniu. Nadal o kahalne stanowiska starali się najzamożniejsi Żydzi z Lublina, a godność rabina gminnego przypadła zwyczajowo dla przedstawicieli najwybitniejszych rodów rabinackich, nie tylko z terenu Korony. Nadal Lublin był centrum życia żydowskiego, jeżeli nie w skali ogólnokrajowej, to z pewnością na terenie Lubelszczyzny.

Prawdziwą rewolucją religijno-społeczną dla miejscowej społeczności żydowskiej było dotarcie do Lublina chasydyzmu, który na przełomie XVIII i XIX w., dzięki założeniu przez jednego z prekursorów tego ruchu religijno-kulturowego w Królestwie Polskim, mowa tu oczywiście o cadyku Jakubie Icchaku Horowicu – „Widzącym z Lublina”, własnego dworu, początkowo na Wieniawie, a potem w samym centrum Żydowskiego Miasta, przy ul. Szerokiej, do którego ściągali Żydzi z całego kraju. Poszła za nim również większość lubelskich Żydów. Nie uczynili oni tego tylko wyłącznie z pobudek religijnych, ale w ten sposób pragnęli wyzwolić się spod wszechwładnej dominacji urzędników kahalnych i oficjalnych rabinów-lamdenów. Nastąpił podział społeczności żydowskiej w Lublinie na chasydzką większość i ortodoksyjną mniejszość, popierającą nadal oficjalne kahały. Mało tego, owa mniejszość będzie miała aż do połowy XIX w. jawne poparcie władz Królestwa Polskiego, uważających, zgodnie jeszcze z duchem oświecenia, że każdy mistycyzm jest niebezpieczny, bo wymykający się spod kontroli, a chasydyzm postrzegających jako ruch ciemnych mas, mimo że w Lublinie chasydami było wielu zamożnych kupców. Nie pasowało warszawskim reformatorom to, że Żydzi wierzą w cudotwórcze właściwości swoich cadyków, a chasydzi są niepodatni na przemiany żydowskiego życia w Królestwie, narzucane im odgórnie, mocą dekretów Naczelnika Królestwa i rozporządzeń Rządowej Komisji Wyznań i Oświecenia Publicznego. Reformę tę rozpoczęto w 1821 r. od likwidacji staropolskich kahałów i wprowadzenia na ich miejsce dozorów bóżniczych, posiadających ograniczone kompetencje religijno-dobroczyne.

Chasydyzm był jednak w Lublinie już na tyle silny na początku XIX w., że musieli z nim liczyć się zarówno ortodoksyjni misnagdzi, jak i miejscowe władze. Było to jedyne w latach 20-tych i 30-tych XIX w. miasto w Królestwie Polskim, gdzie oficjalnie, od 1794 r. funkcjonowała gminna chasydzka bożnica, założona jeszcze przez cadyka Horowica. Znajdowała się w jego domu przy ul. Szerokiej. Na prowincji, a nawet w stołecznej Warszawie było to w tym czasie nie do pomyślenia. Tam chasydzi modlili się w nielegalnych domach modlitwy – sztiblech, mieszczących się w prywatnych domach. Nie brakowało ich oczywiście i w Lublinie. Stanowiły one

nieodłączny element Podzamcza, Piasków (obecnie okolice dworca kolejowego i ul. 1-go Maja) oraz Kalinowszczyzny, gdzie mogli zamieszkiwać lubelscy Żydzi.

Aż do 1862 r. obowiązywał w Lublinie dawny przywilej De non tolerandis Judaeis, a miasto podzielone było na dwa rewiry: I - Chrześcijański, obejmujący Stare Miasto oraz nowe centrum - ulice Krakowskie Przedmieście, Namiestnikowską (Narutowicza) i przyległe, oraz II - Żydowski, czyli Podzamcze oraz rozbudowującą się ul. Lubartowską. Żydowskimi przedmieściami były Piaski, gdzie znajdowała się drewniana bóżnica, wymurowana ostatecznie w 1861 r., głównie dzięki prywatnemu funduszowi niejakiego Hempla oraz Kalinowszczyzna ze starą, pochodzącą z przełomu XVII i XVIII w. murowaną bóżnicą na ul. Towarowej (dzisiaj na jej miejscu przebiega fragment trasy W-Z). Na przedmieściach mieszkali najubożsi Żydzi, niejednokrotnie nie będący w stanie opłacić nawet minimalnego podatku gminnego, ale pamiętający również o tym, że przedmieścia miały niegdyś status samodzielnych kahałów, bądź przykahałów.

Jak wyglądało miasto Żydowskie w połowie XIX w. obrazuje raport Rządu Gubernialnego w Lublinie z 1860 r., a więc jeszcze przed zniesieniem zakazu osiedlania się Żydów na terenie całego miasta: *„Miasto Żydowskie, najludniejsza część miasta, rażący widok nieporządku i nieczystości przedstawia, że na ulicach wiele śmieci, gnoju i błota znajduje się tak dalece, że przejść nie można, a szczególnie na niebrukowanych ulicach Podzamcze i Nadstawnej”*.

Należy pamiętać, że Podzamcze nie było skanalizowane, właściciele domów nie wywozili poza dzielnicę śmieci i błota, a jedynie przrzucali je na publiczne place: *„przez co poformowały się nasypowe góry równające się z domami, że dla braku kloak przy domach, ludność swe potrzeby naturalne z obrazą przyzwoitości odbywa na ulicach i placach”*.

Takim ogólnym ściekiem była Czechówka, do której wrzucano śmieci, ale i z której czerpano też wodę. Nic też dziwnego, że raz po raz ludność żydowską na Podzamczu dziesiątkowały epidemie cholery. W 1860 r. lubelski gubernator donosił dodatkowo: *„Miasto Żydowskie z trzech stron górami opasane, a tym sposobem na ścieki z gór wystawione oprócz przedmieścia Czwartku i Kalinowszczyzny ma 300 właścicieli domów i trzy ulice brukowanych, do takiej liczby ulic byłoby dosyć zaprowadzić dwudziestu stróży stałych. Trotuary z różnymi wiktuałami przez przekupniów zastawiane są tylko w ulicy Szerokiej, właśnie w tym punkcie, gdzie się cały handel koncentruje, gdzie codziennie kilka tysięcy krąży ludności, innego placu dotąd przekupnicy nie mają sobie wskazanego i dopiero z przyszłą wiosną, gdy ulica Rуска wybrukowaną będzie, cały ten uliczny handel na Ruską ulicę przenieść będzie można”*.

Oczywiście, oprócz tego obrazu nędzy, nie brakowało w Lublinie zamożnych i eleganckich domów żydowskich. Właśnie ulica Szeroka stanowiła taką reprezentacyjną część Miasta Żydowskiego, gdzie mieszkali najzamożniejsi kupcy. Tu też domy swoje mieli rabini. Ale życie religijne związane było z ulicą Jateczną, wybrukowaną dopiero w 1860 r., gdzie mieściła się najstarsza i największa synagoga lubelska - Synagoga Maharszala, zwana Wielką. W 1854 r. uległa ona zawaleniu się, więc wysiłkiem całej gminy odbudowano i przebudowano ją. Zatraciła wtedy cechy renesansowe. Tu też znajdował się gminny dom nauki - bethamidrasz de Kahal, według tradycji stojący na miejscu XVI-wiecznej jesziwy. Obok gminnych jatek, gdzie sprzedawano koszerne mięso, funkcjonowała na Jatecznej cechowa bóżnica

Rzeźnicka. Mniejsze bóżnice znajdowały się także na Szerokiej - wspomniana chasydzka, bóżnica Hirsza Doktorowicza oraz bóżnica de Parnes. Na ulicy Podzamcze funkcjonowała synagoga legendarnego, jednodniowego króla Polski, Saula Wahla. Nie brakowało również domów modlitwy, pomieszczonych niejednokrotnie w jednoizbowych mieszkaniach. Zbierali się w nich chasydzi, zwolennicy różnych rebe, nadający ton życiu wszystkich Żydów lubelskich.

W latach 50-tych XIX w. najsilniejszą grupą chasydzką byli zwolennicy miejscowego cadyka, założyciela dynastii, żyjącej w Lublinie aż do okresu II wojny światowej, Lejba Eigera. Ale oprócz chasydów lubelskich, w mieście byli również chasydzi kozienicki, czyli zwolennicy cadyka z Kozienic, mający swój sztibl na ulicy Nadstawnej, chasydzi sosnowiccy, zwolennicy cadyka Altera z Góry Kalwarii, chasydzi z Turzyska na Wołyniu i Humania na Ukrainie, a także chasydzi z Bełza i Bełżyc. Każda z tych grup zbierała się na modlitwy we własnych domach modlitwy. Specyfiką lubelską były również domy modlitwy dla ubogich, którzy nie mieli odpowiedniego odzienia i obuwia, by w wielkie święta pokazywać się w Wielkiej Synagodze, gdzie modlili się najwięksi bogacze lubelscy. Taki zimowy dom modlitwy dla ubogich funkcjonował chociażby na Piaskach w domu Aspisa. Większość tych modlitewni była legalna, wymykała się kontroli władz i Dozoru Bóżniczego, jak zresztą większość bujnego życia żydowskiego, pomimo usilnych starań władz gubernialnych i miejskich, by inwigilować całą społeczność. To nie rozporządzenia władzy wpływały na bieg życia żydowskiego w Lublinie, a tradycja, niejednokrotnie sprzeczna z zarządzeniami państwowymi. Przejawem tego było istnienie w Lublinie tradycyjnego bractwa pogrzebowego Chewra Kadisza, ściganego przez władze z bezwzględnością równą ściganiu polskich organizacji patriotycznych w okresie powstań narodowych. Do bractwa tego należeli nawet ludzie piastujący oficjalne stanowiska gminne, jak chociażby przewodniczący lubelskiego Dozoru Bożniczego Wolf Blumenwajg, zresztą jeden z fundatorów w 1826 r. Nowego Cmentarza żydowskiego przy ul. Unickiej, zwanej wtedy Garbowszczyzną. Z bractwem powiązany był wybitny lubelski rabin Zalman Aszkenazy. Aż do lat 80-tych XIX wieku Lublin, pomimo że przypominał bardziej tradycyjne sztetł, niż duże miasto. Na Podzamczu i przedmieściach mieszkało w tym czasie (1859 r.) 10660 Żydów. Ludności chrześcijańskiej było wtedy w Lublinie 7962 osoby.

Mimo tak wielkiej liczby ludności żydowskiej, przeważali nadal przedstawiciele tradycyjnych zawodów żydowskich - kupcy i kramarze, których było 235., krawcy - 50., kuśnierze i czapnicy - 26. (stanowili 100 procent przedstawicieli tej profesji, podobnie zresztą, jak blacharze i faktorzy). Żydzi przeważali również w takich zawodach, jak introligatorzy, piekarze, jubilerzy i złotnicy. Niewielu było fabrykantów, raptem - 4, ale sam Lublin nie był wtedy jeszcze miastem przemysłowym, a w ogóle nie było nowoczesnej inteligencji żydowskiej, którą spotykało się w Warszawie, czy Łodzi. Jej przedstawiciele, jeżeli zaczynali robić w Lublinie karierę, dość szybko przechodzili na chrześcijaństwo i wynosili się z Żydowskiego Miasta, jak to było w przypadku rodziny lekarzy i księgarzy Arctów, czy lekarza Leona Reinera, honorowego obywatela Cesarstwa Rosyjskiego, mogącego mieszkać poza rewirem żydowskim.

W takiej atmosferze nie było raczej możliwości, by Żydzi lubelscy łatwo ulegali asymilacji w kierunku kultury polskiej. Podział miast na dwa rewiry, niechętnie nastawienie władz i mieszkańców chrześcijańskiego miasta do kwestii zamieszkania

wśród nich Żydów, a przez to praktycznie całkowity brak kontaktów towarzyskich pomiędzy przedstawicielami obydwu wyznań, powodowały, że w Lublinie, w przeciwieństwie do Warszawy, nie powstała aż do końca XIX wieku silna grupa osób asymilujących się, a i ci pojawili się dopiero w latach 60-tych XIX w. Byli to przeważnie przedstawiciele najzamożniejszych rodów w Lublinie, jak np. Warmanowie (ci, aż do 1939 r. stanowili trzon asymilantów w Lublinie – adwokat Bolesław Warman w latach 30-tych XX w. był przewodniczącym miejscowej Gminy Wyznaniowej i reprezentował już wtedy typ Polaka wyznania mojżeszowego), Lichtenfeldowie, Korngoldowie, czy nieco później Mejersonowie. Do tej nielicznej grupy należeli też napływowi do Lublina, świecko wykształceni nauczyciele i praktykanci adwokacy. Takim przykładem może być tutaj osoba Abrahama Sołonowicza, nauczyciela z Wilna, który był pierwszym kierownikiem zeświecczonej i spolonizowanej przed powstaniem styczniowym gminnej szkoły dla chłopców, tzw. Talmud-Tory. Jej reforma w 1862 r. spowodowała wielkie wzburzenie lubelskich chasydów, którzy rozpętali kampanię propagandową przeciwko wprowadzeniu do niej świeckich przedmiotów w tym i języka polskiego.

Lubelscy zwolennicy asymilacji, chociaż popierani przez władze rosyjskie, nigdy nie zdobyli w Lublinie przewagi, chociaż starali się bardzo, a ich głównym argumentem w utrzymaniu władzy w instytucjach gminnych, zwłaszcza w latach 80-tych i 90-tych XIX w., było hasło reformy „ciemnych mas żydowskich, pozostających pod wpływem zabobonów”. Owe ciemne masy żydowskie patrzyły natomiast na maskilów, nazywanych również „Niemcami” z pogardą i wrogością, jak na odszczepieńców od wiary i tradycji. Lublin uchodził aż do II wojny światowej za twierdzę chasydyzmu i ortodoksji. Życie żydowskie w mieście ożywiało się, gdy do pobożnych rebe i cadyków przybywali ich pobożni zwolennicy. Ortodoksyjni pozostawali także gminni rabini.

Jak już było wspomniane do Lublina zapraszano tradycyjnie rabinów ze znanych rodów rabinackich, stąd też przez całą I połowę XIX wieku funkcję tę piastowali w mieście rabini z rodu Aszkenazych, których protoplasta przybył do Polski z Holandii, gdzie był naczelnym rabinem Amsterdamu, a potem, już w Polsce, Lwowa. W Lublinie, w latach 1825-1867 rabinami byli: Meszullam Zalman Aszkenazy, jego bratanek Berisz, a następnie syn, początkowo rabin Grodna, Jehoszua Heszal, który został za lojalność w czasie powstania styczniowego nagrodzony przez cara Aleksandra II orderem św. Anny oraz honorowym obywatelstwem Cesarstwa.

Mimo, że ostatni lubelski rabin z rodu Aszkenazych popierał wprowadzenie do szkoły żydowskiej nauczania języka polskiego i podstaw przedmiotów świeckich, to jednak daleko nie odbiegał w swojej mentalności od stereotypu pobożnego uczonego żydowskiego. W zasobie lubelskiego Archiwum Państwowego zachował się opis jego mieszkania, sporządzony przez lubelskiego notariusza na wniosek rodziny Aszkenazych w 1867 r., zaraz po śmierci rabina. Warto zwrócić w nim uwagę na zawartość biblioteki Jehoszuy Heszala Aszkenazego – 158 tytułów samych dzieł religijnych. W bibliotece nie było ani jednej książki świeckiej.

Lubelscy Żydzi nie decydowali się raczej na zapraszanie do swojej gminy rabinów, którzy jawnie sprzyjaliby reformowaniu tradycji i stylu życia. Następca Aszkenazego, Szneur Zalman Lader nie angażował się w ogóle w życie społeczne lubelskich Żydów, za to był wybitnym talmudystą, rozsądającym spory religijne Żydów z całej guberni lubelskiej. O wyroki w sprawach religijnych zwracały się do niego gminy żydowskie w

Zamościu, Chełmie, Piaskach i na Wieniawie. Gdy w 1892 r. rabinem został wybrany w Lublinie wybitny talmudysta Hillel-Arie Libszyc, ale przy tym posiadający świeckie wykształcenie i także wykształcenie dał swoim synom, również rabinom, Żydzi lubelscy nie zdecydowali się już w 1909 r., po jego śmierci, na wybór na jego stanowisko któregoś z jego synów, absolwentów świeckich gimnazjów rosyjskich, uznanych duchownych w Królestwie, ale wyraźnie sprzyjających reformom religijnym. Ortodoksyjna i chasydzka większość w Lublinie wybrała pobożnego, litewskiego rabina z Mariampola, Eliasza Klatzki, zresztą również uznanego uczonego. Oczywiście nie obyło się bez skandalicznej wymiany korespondencji, a dokładniej mówiąc ekspedycji donosów na „ciemne masy żydowskie”, jakie wysyłała do gubernatora grupa żydowskiej inteligencji i z drugiej strony oskarżeń o wyrzekanie się wiary i tradycji przez maskilów, które to oskarżenia padały od strony obozu ortodoksów i chasydów. Adresowane były również do gubernatora, stanowiącego ostateczną instancję w kwestii nominacji nowego rabina.

Tradycyjny styl życia lubelskich Żydów, ich ortodoksyjna religijność, odciskały silne piętno na obrazie całej społeczności do końca XIX w. Lubelski korespondent warszawskiego tygodnika „Izraelita” stwierdzał, że w gubernialnym mieście Lublinie na porządku dziennym był w latach 70-tych XIX w. widok szamesa z drewnianym młotkiem, stukaniem którego budził prawowiernych Żydów na poranną modlitwę. Tylko odważne jednostki bywały w Teatrze Miejskim. Gdy w 1877 r., po pożarze Bychawy zorganizowano w Teatrze przedstawienie dobroczynne, zamożni misnagdzi lubelscy, chcąc wspomóc pogorzalców, w głównej liczbie bychawskich Żydów, wykupili najdroższe bilety, ale do teatru nie przyszli, ponieważ groziło to ostrą reakcją miejscowych chasydów, niejednokrotnie również ludzi bardzo zamożnych, upatrujących w teatrze siedlisko grzechu i rozpusty. Za to ciż sami, ortodoksyjni misnagdzi, bojący się chasydów, poza Lublinem bywali dość często w teatrach, np. w Warszawie lub zagranicą, gdy wyjeżdżali do wód. Oficjalnie do teatru w Lublinie chodzili tylko postępowcy, a tych było w 1877 r. bardzo niewiele. Jak wyliczał tenże korespondent „Izraelity”, składało się na nich: *„2 patronów Trybunału, 1 urzędnik Izby Skarbowej, 1 nauczyciel gimnazjum, 2 nauczycieli prywatnych, 1 literat, 2 kapelmajstrów wojskowych, 1 lekarz ogólny, 1 lekarz wojskowy, 7 felczerów, 2 akuszerki, 1 księgarz”*.

Niewieleu chłopców żydowskich kształciło się również w lubelskich szkołach świeckich, nawet jeżeli było to szkoły prowadzone przez Żydów. Natomiast w Lublinie, oprócz gminnej szkoły Talmud-Tory, przy której udało się stworzyć nawet chór chłopięcy (do jego repertuaru należał także carski hymn Boże cara chrań, wykonywany w czasie galowych nabożeństw, odprawianych w Wielkiej Synagodze z okazji świąt państwowych), funkcjonowało pod koniec XIX w. blisko 100 chederów, tradycyjnych szkółek żydowskich, w których w ogóle nie było mowy o nauczaniu języka polskiego, czy rosyjskiego, nie mówiąc już o innych przedmiotach świeckich. Szczególnie duża liczba chederów znajdowała się na ul. Nadstawnej. Chociaż władze rosyjskie w Lublinie usiłowały je kontrolować, zwłaszcza obowiązek nauczania państwowego języka rosyjskiego, to zazwyczaj mimo niehigienicznych warunków – ciasne izby, brak odpowiedniego wyposażenia – i dzięki łapówce mełameda, koncesję na prowadzenie chederu otrzymywało się zwykle po sprawdzeniu przez policjanta, czy w szkółce wisi portret oficjalnie panującego cara.

Więcej szans na osiągnięcie świeckiego wykształcenia miały żydowskie

dziewczęta. Stąd też w Lublinie było kilka pensji dla dziewcząt żydowskich, na czele z najbardziej znaną szkołą Lei Mandelkernowej, przeznaczonej dla uczennic z zamożnych domów. Nie brakowało młodych Żydówek i w gimnazjach państwowych. Ale mogły się one kształcić, bo i tak nie decydowały o swojej przyszłości. Dla chasydzkich córek, kończących świeckie szkoły, droga do dalszej nauki i kariery była zamknięta przez rodziców, którzy decydowali o ich małżeństwach, zazwyczaj z równie pobożnymi chasydami. Te, które się przed tym broniły, a były to do 1914 r. rzadkie jednostki, po prostu wykluczane były z rodziny. Takim przykładem była chociażby Bela Szpiro, w okresie międzywojennym działaczka socjalistycznego Bundu w Lublinie. Gdy przed I wojną światową ukończyła gimnazjum, została wydana przez rodziców za mąż za chasyda z Opola Lubelskiego, Szyffera. Był to mariaż dwóch chasydzkich domów. Matka Beli spokrewniona była z rodem cadyków lubelskich Eigerów. Dziewczyna zbuntowała się i po kilku latach rozeszła się z mężem, a następnie zajęła się działalnością społeczną, ale ojciec zerwał z nią wszelkie stosunki. Kontakt utrzymywała tylko z matką. Sytuacje takie nierzadkie były również i przed 1939 r.

Wykształcone kobiety żydowskie w Lublinie, w XIX w. nie były rzadkością, ale nie odgrywały w zasadzie prawie żadnej roli w życiu społecznym miejscowej gminy. Wyjątkiem była Malwina Mejersonowa, żona kupca Bernarda Mejersona i zarazem matka Franciszki Arnsztajnowej. Mejersonowa była pisarką, jej powieść *Z ciasnej sfery* publikował w odcinkach „Izraelita”, ale rodzina Mejersonów była już zasymilowana i inne panowały w tym domu obyczaje. W innych rodzinach wykształcone kobiety starały się jednak zapewnić odpowiednią edukację swoim dzieciom, nawet w tajemnicy przed pobożnymi ojcami i mężami. Tak było chociażby w przypadku Henryka Ehrlicha, ogólnopolskiego przywódcy Bundu, pochodzącego z Lublina. W rodzinnym domu, ze względu na ojca ubierał się w tradycyjny strój żydowski, ale to właśnie matka i siostry wyprawiły go rankiem do gimnazjum, a w mundurek gimnazjalny ubierał się już na ulicy. Skandal wybuchł gdy o jego świeckiej edukacji dowiedział się ojciec. Zniszczył synowi książki i mundurek, ale udobruchany w końcu przez żonę, zgodził się na dokończenie przez syna nauki w gimnazjum, sam nieco zrezygnował z ortodoksji i w efekcie wysłał Henryka Ehrlicha na uniwersytet do Warszawy. Ale to był już koniec XIX w. i zaczynały się gwałtowne przemiany w łonie społeczności żydowskiej w Lublinie.

Po uruchomieniu w 1877 r. linii kolejowej z Warszawy przez Lublin do Kowla, w mieście zaczął się gwałtowny rozwój przemysłu, a z tym nastąpił napływ i wzrost liczby ludności w mieście. Do Lublina napływali nie tylko chłopi, ale również Żydzi z prowincjonalnych miasteczek, szukający tutaj większych możliwości zarobku. Przybywali także uchodźcy żydowscy, rugowani z głębi Cesarstwa Rosyjskiego. Wielu Litwaków zrobiło zresztą w Lublinie karierę i zbiło majątek, jak chociażby Mojżesz Szczarański, ortodoksyjny przemysłowiec, fabrykant świec i mydła, który po 1918 r. stał się jednym z najaktywniejszych przywódców ortodoksyjnej partii Agudas Isroel. Obok starych fortun wyrastały nowe, a Żydzi, którzy w 1862 r. mogli wreszcie opuścić ciasne zaułki Żydowskiego Miasta, zaistnieli bardzo mocno w centrum Lublina. Podzamcze, a raczej jego najstarsza część stopniowo stawała się dzielnicą najuboższych warstw ludności żydowskiej.

W 1893 r. na 46 tysięcy ogółu mieszkańców miasta, Żydów było 21 tysięcy, a w

dwadzieścia lat później, w 1913 r., gdy w Lublinie żyło blisko 77 tysięcy ludności, społeczność żydowska liczyła 38 tysięcy osób. Większość z nich byli to przeważnie drobni kupcy, rzemieślnicy, robotnicy pracujący w niewielkich zakładach. Nie brakowało również ludzi żyjących w nędzy, a obok nich nie brakowało także osób bardzo zamożnych, tworzących swoje bogactwo w ciągu jednego pokolenia, fundujących w centrum eleganckie kamienice, jak na przykład rodzina Zylberów, właściciele gorzelnii w Lublinie i Kowlu, browaru przy ul. Bychawskiej i cegielni na Helenowie. Przed I wojną światową Sender Zylber wybudował na ulicy Cichej kamienicę, przeznaczoną tylko dla własnej rodziny, gdzie jeden z balkonów adaptowany był od razu na tradycyjną kuczkę, z której korzystano podczas święta Szałasów. Wystarczyło jedynie odsunąć dach na balkonie. Budynek istnieje do dzisiaj, użytkowany obecnie przez Izbę Lekarską. Przybyły z guberni radomskiej Szmul Ajchenbaum stworzył w Lublinie drugą taką fortunę, po I wojnie światowej był już właścicielem Domu Przemysłowo-Handlowego przy ul. Królewskiej, gdzie też mieszkała jego rodzina i gdzie założył także prywatny dom modlitwy. Ajchenbaumowie i Zylberowie byli ludźmi bardzo pobożnymi, później przewodzili w Lublinie organizacjom ortodoksyjnym. To właśnie Szmul Ajchenbaum oddał w 1924 r. swoje place na Lubartowskiej pod budowę słynnej Jesziwas Chachmej Lublin.

Ortodoksyjnych i chasydzkich bogaczy w Lublinie nigdy nie brakowało. W 1877 r. właściciel kamienicy przy ul. Kapucyńskiej, Lejzor Roszgold wybudował w jej podwórku dom modlitwy. Nowi ludzie robili kariery. Przybyły z Międzyrzecza Podlaskiego Symcha Bromberg, dzięki własnym umiejętnościom stał się wkrótce jednym z najpoważniejszych dostawców chmielu do lubelskich browarów. Po 1918 r. wybrano go nawet na wiceprezesa Lubelskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Pochodził w ogóle z raczej niezamożnej rodziny kupieckiej.

Chociaż równocześnie zwiększała się liczba zwolenników asymilacji, a nawet pod koniec lat 90-tych XIX w. pojawili się w Lublinie pierwsi zwolennicy syjonizmu, ostro zresztą zwalczani zarówno przez ortodoksów, jak i przez władze carskie, to jednak nigdy w Lublinie nie zdołali oni ufundować własnej postępowej synagogi. Mimo, że podejmowali próby adaptowania na ten cel nawet Teatru Starego na Jezuickiej, to opór władz i ortodoksyjnych współwyznawców był tak wielki, że do 1939 r. Lublin był jedynym większym miastem na ziemiach polskich, gdzie nie powstała reformowana bóżnica, ale i tak postępowcy oraz asymilatorzy odgrywali dużą rolę w instytucjach gminnych, które zdominowali po 1900 r., zresztą nie bez wydatnej pomocy gubernatora. Na początku XX w. lubelska Gmina Wyznaniowa posiadała nadal 11 synagog i bóżnic, ale oprócz tego mogła się poszczycić nowoczesnym Szpitalem Żydowskim na Lubartowskiej, wybudowanym w 1886 r., gdy dawny Szpital Starozakonnych przy ul. Siennej okazał się niedostatecznym dla tak licznej gminy. Od 1862 r. przy ulicy Grodzkiej funkcjonowała Ochronka dla sierot, założona dzięki ofiarności lubelskiego rzemieślnika Cwajga, który testamentalnie przekazał na jej utworzenie pewną sumę pieniędzy.

Gdy przez Królestwo Polskie przewaliły się wypadki rewolucji 1905 r., bierni nie pozostali wobec nich i lubelscy Żydzi. W bardzo szybkim tempie, na fali liberalizacji życia społecznego i politycznego zaczęły powstawać żydowskie organizacje społeczno-kulturalne, na czele z bardzo aktywnym Towarzystwem „Hazomir”, przy którym działał chór i zespół teatralny, kierowany przez wybitnego reżysera Jakuba Waksmana. Przy Towarzystwie organizowano również odczyty, poświęcone nie tylko życiu kulturalnemu, ale i bieżącym problemom ludności żydowskiej. Powstało także

Żydowskie Towarzystwo Dobroczynne, ale zaraz również ujawniły się tradycyjne, zdominowane przez ortodoksów bractwa, pozostające dotychczas w głębokiej konspiracji. Takim bractwem było chociażby Bijkur Cholim, niosące pomoc biednym chorym. Posiadało ono nawet własną bóżnicę przy ul. Ruskiej. Prawdziwą rewolucją było jednak to, że w Lublinie powstały silne organizacje polityczne, czego nie było wcześniej prawie w ogóle. Represje carskie spowodowały jednak, że pozostały one w podziemiu. Jakby dla przeciwwagi całej religijnej tradycji, najsilniejszą z nich był socjalistyczny Bund, którego działacze organizowali swoje demonstracje nie tylko na ulicach, czy w Ogrodzie Saskim, ale prowadzili bardzo silną agitację w bóżnicach. Do Bundu, czy też do Organizacji Syjonistów – Terytorialistów zaczęło garnąć się bardzo wiele młodzieży, także z zamożnych rodzin. To była prawdziwa rewolucyjna przemiana mentalności, którą ze zgrozą obserwowali starsi, tradycyjni Żydzi.

Na jedną rzecz nie godziły się władze carskie – na wprowadzenie do Talmud-Tory języka polskiego, mimo że żądali tego wyraźnie rodzice uczniów. Gubernator lubelski oraz kurator na podania składane przez lubelskich Żydów w tej sprawie odpowiedzieli kategorycznie: *„Nie ma podstaw, by opolaczywać naszych Żydów!”*

Niechętnie też na polonizację Żydów patrzyło wielu polskich mieszkańców Lublina, mimo że takie osoby, jak dr Marek Arnsztajn dało podczas rewolucji dowody wielkiego oddania dla sprawy polskiej. W polski ruch zaangażował się także adwokat Bolesław Warman. Zwolennikiem włączenia się Żydów w aktywniejsze życie społeczne całego miasta był wieloletni przewodniczący Dozoru Bóżnicowego, dyrektor lubelskiego Oddziału Łódzkiego Banku Handlowego, Jakub Kipman, któremu Żydzi lubelscy w dowód uznania ufundowali po śmierci w 1921 r. pomnik na Nowym Cmentarzu żydowskim. Okres poprzedzający bezpośrednio wybuch I wojny światowej to czas pierwszych zająć antyżydowskich w Lublinie, polegających wtedy głównie na kampanii propagandowej prowadzonej przez zwolenników idei Romana Dmowskiego, która przerodziła się w bojkot sklepów żydowskich. O kontaktach na polu towarzyskim pomiędzy Polakami i Żydami w Lublinie raczej nie było nigdy mowy, oczywiście z drobnymi wyjątkami, do których zaliczało się małżeństwo Marka i Franciszki Arnsztajnow, prowadzących przy Złotej dom otwarty dla wszystkich bez względu na wyznanie i narodowość. Kontakty urzędowe i handlowe wyraźnie psuły się. Taka sytuacja była do I wojny światowej i ugruntowywała jedynie podział na dwa odrębne światy w Lublinie.

Okres I wojny światowej, a zwłaszcza czas okupacji austro-węgierskiej jeszcze bardziej uaktywnił politycznie i społecznie ludność żydowską w Lublinie, ale jednocześnie trudne lata 1915-1918 spowodowały znaczne jej zubożenie. Do Lublina napłynęło tysiące uchodźców z terenów objętych walkami. Napływali Żydzi z podlubelskich miasteczek, niejednokrotnie całkowicie spalonych, jak Turbin, Rejowiec, Krasnystaw, czy Gorzków. Gmina wyznaniowa w Lublinie stanęła przed problemem utrzymania tych ludzi. Jako, że organizacje polskie niechętnie angażowały się w pomoc Żydom, ci powołali w mieście Żydowski Komitet Ratunkowy. Bardzo szybko okazało się, że spełnia on nie tylko rolę charytatywną i opiekuńczą, ale również kulturotwórczą.

Na jego zaproszenie, z Warszawy zaczęli przybywać do Lublina najwybitniejsi artyści żydowscy, dający tu przedstawienia na cele dobroczynne. W 1917 r. w teatrze „Panteon”, czyli w Teatrze Starym wystąpił zespół Estery Racheli Kamińskiej. Publiczności lubelskiej zaprezentowano znaną sztukę Gordina pt. Mirele Efros. Na

deskach teatru wystąpiły wtedy takie sławy, jak sama Estera Kamińska, jej córka Ida, Jonas Turkow i Heldenberg. W lubelskiej Wielkiej Synagodze koncerty muzyki religijnej i słynnych arii operowych, dla tych samych celów dobroczynnych, dał nadkantor synagogi warszawskiej, sława w skali nie tylko ogólnopolskiej, Gerszon Sirota.

Oczywiście były to pewne działania demonstracyjne. Ciężkie czasy nie nastrajały do rozrywki. W Lublinie szalała epidemia cholery i tyfus. Wszystkie organizacje prowadziły dożywianie dla biednych – powstały kuchnie ludowe, w tym i kuchnia robotnicza, prowadzona przez działaczy Bundu. Bóżnice zamienione zostały na schroniska, zakładano doraźne warsztaty, by zatrudnić rzesze bezrobotnych.

W okresie I wojny światowej lubelscy Żydzi dali także dowód na to, że nie jest im obojętna sprawa niepodległości Polski. Od 1916 r., w każdą rocznicę uchwalenia Konstytucji 3-go Maja odprawiano uroczyste nabożeństwo, podczas którego śpiewano historyczny hymn Żydów warszawskich, odśpiewany po raz pierwszy właśnie w dniu ogłoszenia Konstytucji. Asymilatorzy lubelscy założyli nawet żydowską drużynę harcerską im. Berka Joselewicza. Oprócz niej istniały również narodowe organizacje skautów żydowskich – szomrów, pozostające pod wpływami zwolenników coraz silniejszego syjonizmu.

Po raz pierwszy również w historii żydowskiej społeczności w Lublinie zaczęła się ukazywać polskojęzyczna gazeta pt. „Myśl Żydowska”, której zespół redakcyjny deklarował współpracę z Polakami, ale i zarazem obronę interesów żydowskich w mieście. Na jej łamach publikowali m. in. Bolesław Warman, nauczyciel historii i religii w nowopowstałym gimnazjum żydowskim małżeństwa Szperów, Leon-Lejb Szper, Ludwik Rechtszaft. Ów tygodnik ukazywał się w Lublinie w latach 1916-1918. Jego miejsce zajął w 1918 r. dziennik, drukowany w jidysz, „Lubliner Tuglat”, założony przez warszawskiego dziennikarza Saula Stupnickiego. Wydawano go aż do 1939 r.

W okresie I wojny światowej pojawiły się również w mieście polskie szkoły dla dzieci żydowskich, których gorącą orędowniczką była Franciszka Arnsztajnowa. Zajęcia z języka polskiego prowadzono również dla sierot wojennych, przebywających w ochronkach. Tu nawet udawało się organizować małe przedstawienia poetyckie, podczas których żydowskie dzieci deklamowały wiersze Konopnickiej i Mickiewicza. Wydawałoby się, że może jednak nastąpi jakieś porozumienie pomiędzy Polakami i Żydami. Niestety, już pierwsze wybory do Rady Miejskiej Lublina w 1916 r. udowodniły, że organizacje polskie nie są skłonne do dopuszczenia ludności żydowskiej do współdecydowania o losach miasta. Podczas kampanii wyborczej rozpętano bardzo ostrą agitację antyżydowską, ale i tak reprezentacja żydowska miała w nowej Radzie swoich 17 radnych na 60 w ogóle.

Gdy wybuchała niepodległość Polski, społeczność żydowska w Lublinie wkraczała w nią doskonale zorganizowana. W mieście działało jedenaście żydowskich partii politycznych, od komunizującej Poalej-Syjon Lewicy, przez bardzo silny socjalistyczny Bund, posiadający własne związki zawodowe i organizacje kulturalno-oświatowe, socjalistyczną Poalej-Syjon Prawicę do prawicowych Organizacji Ogólnych Syjonistów i ortodoksyjnej Agudas Isroel. O ile w dawnej, XIX-wiecznej Gminie Wyznaniowej toczyły się walki pomiędzy zwolennikami różnego sposobu podejścia do kwestii religii i tradycji, tak obecnie o jej obliczu zaczęły decydować podziały polityczne. Kto miał

większość w Gminie, ten decydował o subsydiach dla rozlicznych organizacji. Okazało się jednak, że nadal najsilniejsi w Lublinie byli ortodoksi i chasydzi zablokowani w Agudas Isroel.

Po 1918 r. rozrosła się również wraz z rozwojem terytorialnym miasta Wyznaniowa Gmina Żydowska w Lublinie. W 1917 r. przyłączono do niej, funkcjonującą dotychczas Gminę na Wieniawie.

Wieniawa, aż do I wojny światowej była samodzielnym miasteczkiem, mimo że bezpośrednio przylegały do niej Ogród Saski oraz ulice Wieniawska i Lubomelska. Od 1891 r. żydowscy działacze gminni w Lublinie zabiegali o przyłączenie wieniawskiej Gminy do lubelskiej, motywując to anachronizmem istnienia samodzielnej „parafii” żydowskiej, jak nazwano gminy w XIX w., która nie dość, że była otoczona ze wszystkich stron granicami Gminy w Lublinie, to nie potrafiła poza własnym Dozorem Bóżniczym, rabinem, cmentarzem (obecnie na jego miejscu znajduje się stadion „Lublinianki”), synagogą, zamkniętą zresztą w 1912 r. ze względu na fatalny stan techniczny, domem modlitwy i mykwą, utrzymać innych instytucji. Na Wieniawie Dozór nie prowadził najmniejszej nawet działalności dobroczynnej, po prostu nie było go na to stać. Ważna była jednak samodzielność.

Rzeczywiście Wieniawa była typowym sztetł. Zamieszkiwała ją uboga, ortodoksyjna ludność żydowska. Poza murowanymi synagogą, datowaną jeszcze na XVIII w. i domem modlitwy, wybudowanym wielkim wysiłkiem finansowym całej miejscowej społeczności w 1909 r., jej zabudowę stanowiły drewniane domy, przeważnie ubogie i parterowe. Wieniawscy Żydzi, poza kilkoma rodzinami miejscowych bogaczy, oczywiście na skalę tego miasteczka, utrzymywali się z drobnego handlu i rzemiosła. Większość z nich zatrudniona była w Lublinie jako służba domowa lub tania siła robocza. Ludność na Wieniawie była tak uboga, że nie stać ją było nawet na opłacenie minimalnej składki bóżnicznej. Kantor w synagodze, chociaż według umowy powinien był dostać 30 rubli rocznej pensji, nie dostawał jej prawie w ogóle, szkolnicy dostawali wypłatę z pieniędzy, które miały być przeznaczone na świece do synagogi. Rabin Lejzor Kerszenbaum zrzekł się nawet na pewien czas pensji i żył wyłącznie z dobrowolnych ofiar wiernych. Uboga ludność korzystała z dobroczynności gminnej w Lublinie, co bardzo nie odpowiadało działaczom lubelskiego Dozoru.

Praktycznie, na Wieniawie władzę w Dozorze sprawowało kilka rodzin, zamożnych kupców lub właścicieli większych domów, przeważnie ortodoksów starego typu, do których należeli Ginsburgowie, Lanejlowie, Kuropatwowie i Rachmanowie. Bogatsi Żydzi lubelscy chętnie meldowali się na stałe na Wieniawie, chociaż tutaj wcale nie mieszkali, ponieważ płacili tu mniejsze podatki. Stąd też Gmina Wyznaniowa w Lublinie, aż do 1915 r. monitowała władze gubernialne o przyłączenie do niej Wieniawy, gdzie mieszkało wtedy ok. 3 tysiące Żydów, stanowiących blisko 75 procent ogółu mieszkańców tego miasteczka.

Przyłączenie Wieniawy do Lublina, które nastąpiło w czasie I wojny światowej, wcale nie poprawiło bytu tamtejszych Żydów. Do 1939 r., chociaż wybudowano tu kilka murowanych kamieniczek, Wieniawa uchodziła za synonim żydowskiej nędzy, podobnie jak w Lublinie ulica Krawiecka i Plac Krawiecki na Podzamczu. Nic też dziwnego, że obok tradycyjnie silnej tu grupy ortodoksów i chasydów, przedmieście stało się także miejscem bujnego rozwoju organizacji lewicowych, grupujących młodzież żydowską, przeciwstawiającą się własnej nędzy i bierności rodziców. Działał

tu między innymi Żydowski Klub Sportowy „Wieniawa”, w rzeczywistości stanowiący przykrywkę dla politycznej działalności komunizującej młodzieży. Skończyło się to w efekcie rozwiązaniem Klubu przez polskie władze państwowe w latach 30-tych.

Wieniawa posiadała jednak, aż do tragicznego wysiedlenia z niej w 1940 r. ludności żydowskiej, własną synagogę, cmentarz, gdzie chowano uboższą ludność (bogatsi wykupywali miejsca na nowym Cmentarzu żydowskim w Lublinie, przy ul. Unickiej) i rabina. Był nim do końca Lejzor Kerszenbaum. Istniało to niezależnie od lubelskiego bractwo pogrzebowe - Chewra Kadisza oraz własne organizacje samopomocowe o charakterze religijnym. Żydzi wieniawscy aż do II wojny światowej bardzo często podkreślali swoją odrębność. Być może wynikało to z ich niedowartościowania przez zamożniejszych Żydów lubelskich.

Ludność żydowska w międzywojennym Lublinie, licząca w 1921 r. 37 337 osób, w 1931 r. 38 937, była bardzo zróżnicowana, zarówno pod względem społecznym, majątkowym jak i kulturowym. Pojawienie się rozlicznych organizacji politycznych, kulturalno-oświatowych, gospodarczych i religijnych, aktywizowało zarówno młodych, jak i starszych. Każda kampania wyborcza, czy to do Sejmu i Senatu, czy też do Rady Miejskiej, a przede wszystkim do Rady i Zarządu Gminy Wyznaniowej, unaoczniały niesamowite rozbieżności polityczne Żydów lubelskich. Prym wiedli oczywiście nadal ortodoksi i chasydzi zblokowani w jednej partii - Agudas Isroel. Prowadzili własne szkoły - dla chłopców Jawne, dla dziewcząt Bejs Jakow. Oprócz liderów partyjnych, takich, jak przemysłowiec Szmul Ajchenbaum, Hersz Jojna Zylber i Mojżesz Szczarański, autorytetem swoim wspierali ich rabini i ostatni z lubelskich cadyków, Szlamó Eiger. Wielkim sukcesem lubelskich ortodoksów było rozpoczęcie budowy w mieście uczelni rabinackiej, Jesziwas Chachmej Lublin i sprowadzenie do Lublina w 1930 r. na stanowisko głównego rabina w mieście, Mejera Szapiry, przeciwko któremu zgodnie wystąpili miejscowi działacze syjonistyczni i socjalistyczni, stwierdzając, że rabin Szapiro „chce założyć lisią czapkę na głowy lubelskich Żydów”. Podczas wyborów, w trakcie posiedzenia Rady Gminy Wyznaniowej doszło nawet do bójki pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami rabina. Interweniowała policja.

Jednakże już po otwarciu lubelskiej jesziwy, gdy o Lublinie pisała prasa żydowska na całym świecie, ataki te nieco osłabły.

Coraz mocniej dawało się jednak w Lublinie zauważyć, że wraz z nowoczesnymi prądami społeczno-politycznymi, zmieniało się oblicze całej miejscowej społeczności żydowskiej. Liczna grupa inteligencji żydowskiej tradycję religijną zamieniała na ideologię narodową. Silne w Lublinie partie syjonistyczne, na czele z mieszczańską Organizacją Ogólnych Syjonistów, coraz głośniej artykułowały hasła o radykalnej reformie społeczeństwa żydowskiego, którego największym kalectwem była koncentracja w kilku tradycyjnych zawodach, przede wszystkim w handlu i rzemiośle. Stąd też nawoływano do emigracji do Palestyny, do zajęcia się bardziej produktywnymi zawodami, co wcale w międzywojennej Polsce nie było takie znowuż łatwe. Żydom trudno było znaleźć pracę w administracji państwowej i polskich przedsiębiorstwach. Związani tradycyjnie z miastami, nie przenosili się na prowincję, gdzie mogliby zająć się rolnictwem. Zachodził raczej odwrotny proces. Do Lublina napływali liczni Żydzi z prowincjonalnych miasteczek, gdzie żyło się jeszcze trudniej. Przyjazd do dużego miasta najczęściej nie poprawiał bytu. Tutejszy żydowski rynek pracy był mocno ograniczony, więc ludzie ci automatycznie poszerzali grupę ludzi żyjących na granicy nędzy lub w nędzy całkowitej.

Wiele było takich rodzin, które praktycznie nie miały żadnego utrzymania. W Lublinie mówiono o nich „luftmenszn” – żyjący z powietrza, ale jednak żyjący. Nic też dziwnego, że młodzież z najuboższych domów garnęła się albo do organizacji syjonistycznych, nawołujących do emigracji z Polski, albo zasili szeregi organizacji lewicowych, w tym i KPP. Była to swoista pogoń za ideą, próba wyrwania się z nędzy i ciasnoty zaułków i ruder na Krawieckiej, Zamkowej i Podzamcza. Syjoniści proponowali wyjazd do Palestyny, a chętni do zakładania nowego społeczeństwa w ziemi praojców czekali na swoją kolejkę wyjazdu, starając się już na miejscu przemienić się w nowych obywateli. Przygotowania takie prowadzono w ramach kolonii chalucowych, gdzie żyjąc i pracując we wspólnocie, młodzież żydowska uczyła się jednocześnie hebrajskiego. Taka kolonia chalucowa istniała w Lublinie właśnie na najuboższej ulicy Podzamcza – Krawieckiej, gdzie w dawnej fabryce papierosów Nachmana Krasuckiego pracowali lubelscy chaluce. Warunki były fatalne, zarobki głodowe, więc rodziny żydowskie z miasta starały się donosić im chociaż jedzenie. Poświęcenie tych młodych ludzi było ogromne. Anglicy niechętnie wpuszczali Żydów z Europy do Palestyny, nad którą sprawowali mandat. Więc przychodziło często czekać po kilka lat. Już po dojściu w Niemczech Hitlera do władzy, Brytyjczycy jeszcze drastyczniej ograniczyli możliwość wjazdu do Palestyny nie znaczy to, że młodzi lubelscy Żydzi nie emigrowali tam. Niektórzy dotarli w ostatniej chwili, już w 1939 r.

Syjoniści lubelscy, którym przewodziła lokalna inteligencja: adwokaci, lekarze, nauczyciele, w każdym razie grupa już w tym okresie mocno znacząca w mieście, prowadzili również własne placówki oświatowe. Na ul. Niecałej znajdowała się szkoła powszechna Tarbut (Tarbut po hebrajsku to oświata i tak też nazywała się syjonistyczna organizacja kulturalno-oświatowa, prowadząca w całym kraju swoje szkoły), a obok niej Gimnazjum Humanistyczne. W obydwu tych szkołach duży nacisk kładziono na nauczanie języka hebrajskiego, ale jako języka świeckiego. W tym też języku niejednokrotnie wystawiano przedstawienia szkolne. Sami działacze syjonistyczni prowadzili w Lublinie bardzo silną kampanię, propagującą używanie języka hebrajskiego na co dzień. Dla ortodoksów było to wielkie bluźnierstwo – hebrajski od wieków był przecież świętym językiem liturgicznym, używano go tylko w synagogach i podczas modlitwy teraz został wprowadzony do szkół, na scenę teatralną, chociaż niewielu jeszcze Żydów lubelskich deklarowało go jako język używany w domu. Nawet zebrania syjonistyczne odbywały się albo w jidysz, albo coraz częściej po polsku. W 1931 r. do używania języka hebrajskiego na co dzień przyznawało się tylko ok. 1500 lubelskich Żydów. Jednakże sympatie prosyjonistyczne okazywało zdecydowanie wiele więcej osób, zwłaszcza młodych, stąd też istniało również wiele organizacji młodzieżowych, propagujących ideę założenia własnego państwa żydowskiego w Palestynie. Wystarczy tu wymienić takie jak Hanoar Hacyjoni, lewicową organizację harcerską Hozzomer Hacair, czy pozostającą pod wpływem skrajnie nacjonalistycznego odłamu syjonistycznego organizację skautowską Brith Trumpeldor, ale w wypadku tej ostatniej należy zwrócić uwagę, że na zebrania jej, jak również na spotkaniach Organizacji Syjonistów-Rewizjonistów, do której należeli harcerze im. Józefa Trumpeldora, używano przede wszystkim języka polskiego i zalecano używanie go w domach. Obok hebrajskiego hymnu „Hatikwa-Nadzieja”, śpiewano także jako pieśń organizacyjną Marsz I Brygady.

Bardzo silną opozycję do syjonizmu i ortodoksji przejawiała bodajże najsilniejsza lubelska organizacja świecka, socjalistyczny Bund, deklarujący przywiązanie do kultury proletariatu żydowskiego i języka jidysz. Jednocześnie bardzo silnie podkreślano wśród członków Bundu całkowitą obojętność, a nawet wrogość do religii. Zdarzały się nawet wypadki, że młodzi członkowie Bundu demonstrowali tę wrogość do religii poprzez wejście bez czapki do Synagogi Maharszala.

Również i ta organizacja wytworzyła własne instytucje społeczne i oświatowe. Istniała bardzo aktywna Centrala Klasowych Związków zawodowych, organizacje sportowe, młodzieżowe i kobiece. Bund prowadził własną szkołę powszechną, gdzie nauczano w jidysz, a przed samym wybuchem wojny, w Lublinie zaczęto z inicjatywy Bundu, a zwłaszcza jego wybitnej działaczki Beli Szpiro budowę żydowskiego Domu Kultury im. Icchoka Lejbusza Pereca, w którym miała pomieścić się szkoła, sale gimnastyczne i teatralna, duża biblioteka itp. Dom, powstający wysiłkiem wielu ludzi, nie tylko sympatyków i członków Bundu, miał być otwarty w dniu 1 września 1939 r. Nigdy nie doczekał się uroczystego otwarcia. Po II wojnie światowej, w latach 1944-1948 zamieszkali w nim ocaleni z Zagłady oraz żydowscy repatrianci ze Wschodu. Dzisiaj, w budynku tym mieści się Instytut Medycyny Wsi na Czwartku i jedynie tablica pamiątkowa przypomina o jego rzeczywistym przeznaczeniu.

Lubelski Bund zdominował miejscowych Żydów w drugiej połowie lat trzydziestych, gdy nasiliła się w Polsce kampania antyżydowska, a Anglicy drastycznie ograniczyli możliwość emigracji do Palestyny. Głosząc hasła antysyjonistyczne i podkreślając jednocześnie, że Żydzi mają prawo do rozwijania własnej narodowości i kultury w Polsce, zwracano w szeregach Bundu uwagę na to, że naturalnym miejscem zamieszkania i rozwoju dla Żydów polskich jest właśnie Polska. W 1936 r. Bund był najsilniejszą po Agudas Isroel organizacją, zasiadającą w Radzie i Zarządzie Gminy Wyznaniowej w Lublinie. Owe bujne życie polityczne i społeczne bardzo silnie oddziaływało na ogólny obraz społeczności żydowskiej w Lublinie. Przede wszystkim nie była to już ta tradycyjna, ortodoksyjna gmina, jaką pamiętali starsi mieszkańcy Lublina sprzed I wojny światowej. Coraz mniej szokujący był widok kobiet udzielających się politycznie i społecznie. Wystarczy tu wspomnieć o działaczce syjonistycznej Beli Dobrzyńskiej, sprawującej jednocześnie funkcję kuratora żydowskiej Ochronki na Grodzkiej, czy o socjalistycznej Beli Szpiro. Powstawała silna grupa aktywnej inteligencji żydowskiej wśród której nie brakowało także kobiet, na czele z najbardziej znaną, dr Belą Mandelsberg-Szyldkraut, studentką prof. Majera Bałabana i nauczycielką historii w Gimnazjum Humanistycznym.

Mimo, że Lublin miał najniższy wskaźnik osób narodowości żydowskiej, deklarującej jednocześnie używanie na co dzień języka polskiego, to mimo wszystko, wiele osób, których młodość przypadła na okres międzywojenny, a obecnie żyją w Izraelu, czy też w ogóle poza Polską, stwierdza, że już wtedy, przed wojną, w ich domach, w Lublinie powszechnie używano języka polskiego. Wielu z nich stwierdza, że jidysz znali rodzice, ale oni sami nie używali tego języka, ba, bywały dość częste przypadki, że nie znali go w ogóle, a zaczęli się go uczyć dopiero w tragicznych latach wojny, już w getcie. Żyło też w Lublinie bardzo wielu Żydów, którzy nie znali w ogóle języka polskiego, ponieważ nie był im on potrzebny na co dzień. Ktoś, kto mieszkał na Podzamczu, wychowywał się wyłącznie w środowisku żydowskim, uczęszczał do żydowskiej szkoły, robił zakupy w żydowskich sklepach, mógł przez

całe życie nie używać polskiego języka. Przecież takie ulice, jak Szeroka, Nadstawna, Zamkowa, Podzamcze, Krawiecka, duża część Lubartowskiej, były specyficznymi żydowskimi ulicami, gdzie Polacy, jeżeli mieszkali, stanowili jednostki wtopione w żydowski żywioł i nie brakowało też przypadków, że to właśnie Polacy znali także bardzo dobrze język jidysz. Takich przypadków nie brakowało również w dzielnicach mieszanych, jak chociażby Kalinowszczyzna. Mimo wszystko, społeczność polska i żydowska w Lublinie poza oczywistymi wyjątkami nadal żyły obok siebie, a nie razem ze sobą. Były to dwa odrębne światy. Przejście z zamożnego Krakowskiego Przedmieścia na nędzną ulicę Krawiecką, chociaż niezbyt dalekie w odległości, stanowiło równocześnie wejście do innego świata. Wielu zamożnych Żydów lubelskich, a nawet tych żyjących na średnim poziomie, ale nie mieszkających na Podzamczu nie było nigdy na tych najbiedniejszych ulicach. Znam taki przypadek osoby, która nawet w getcie lubelskim nigdy nie zapuściła się na Krawiecką, bo po pierwsze nie znała jidysz, po drugie czuła się tam obco, nie miała nawet żadnych znajomych, ani interesów do załatwienia. Kontakty polsko-żydowskie możliwe były tylko w tych dzielnicach, gdzie Polacy i Żydzi żyli obok siebie i z reguły były to przede wszystkim kontakty ekonomiczno-urzędowe, przynajmniej wśród dorosłych. Z dziećmi i młodzieżą bywało już nieco inaczej, ale też nie były to przypadki powszechne.

Gdy jeszcze do tego wszystkiego, w drugiej połowie lat trzydziestych doszła w Lublinie kampania antyżydowska, objawiająca się głównie bojkotem sklepów żydowskich, chociaż nie brakowało również i pobic Żydów w Ogrodzie Saskim, czy na ulicy (raz nawet powybijano okna w redakcji „Lubliner Tugblat” na ul. Królewskiej), ta przepaść pomiędzy społecznością żydowską, a polską jeszcze bardziej się pogłębiła. Co prawda, owa kampania antysemityczna miała także różną częstotliwość w różnych miejscach w Lublinie. Najsilniej odczuwali ją Żydzi mieszkający w Śródmieściu, czy też na ulicy Lubartowskiej, ale nie objawiała się ona chociażby na Kalinowszczyźnie, zamieszkałej przez polskich i żydowskich robotników, zatrudnionych w jednych zakładach – żydowskich garbarniach. Tu nie brakowało także przejawów polsko-żydowskich sympatii.

Nawet życie kulturalne Żydów lubelskich toczyło się obok życia kulturalnego Polaków, chociaż Żydzi bardzo chętnie przychodzili na polskie przedstawienia i filmy w teatrze i kinach. Polacy na żydowskich przedstawieniach raczej nie bywali. Często powodem była bariera językowa.

Mimo, że Lublin nie posiadał własnego teatru żydowskiego, to jednak był miejscem, gdzie przybywały znane grupy teatralne na czele z teatrem Estery Racheli Kamińskiej. Bywała tu wileńska Habima oraz grupa teatralna uchodźców z Niemiec, Aleksandra Granacha. Dla społeczności żydowskiej w Lublinie występy żydowskich artystów ze stolicy, z Wilna, czy Białegostoku były zawsze bardzo wielkim wydarzeniem. Estera Rachela Kamińska cieszyła się tutaj tak wielkim powodzeniem, że jej młodzi wielbiciele potrafili sami zaprzęgnąć się do dorożki, wiozącej ją spod dworca kolejowego do hotelu „Europa”.

Przedstawienia teatralne i koncerty dawały również lubelskie grupy amatorskie, działające przy żydowskich szkołach i organizacjach. Ich występy odbywały się nie tylko w kinoteatrze „Panteon”, powszechnie uważanym za żydowski teatr w Lublinie, ale udostępniano im również deski Teatru Miejskiego. Miejscowe zespoły teatralne dawały przedstawienia w oparciu o repertuar żydowskich klasyków, ale nie

brakowało również zwykłych występów akademijnych, na przykład z okazji zakończenia roku szkolnego, kiedy uczniowie Gimnazjum Humanistycznego z ulicy Niecałej mogli zaprezentować się przed szerszą publicznością. Tak wspominał o tym Izrael Szalit, nauczyciel w tej szkole, a następnie jej dyrektor: *„Od początku postawiliśmy sobie za zadanie pracę społeczną na terenie szkoły, aby w ten sposób dotrzeć do szerokich warstw społeczeństwa. Narzędziem były bale i imprezy organizowane na święta Chanuka i Tubi Szwat, które cieszyły się dużą frekwencją. Szkoła posiadała własny chór, który brał udział w programach, śpiewając nowe hebrajskie pieśni. Szczytem była uroczystość zakończenia roku szkolnego. Sukces tej imprezy oddziaływał bezpośrednio na ilość zarejestrowanych nowych uczniów. Pierwsi absolwenci świętowali w sali Teatru Miejskiego, którą wypożyczył do naszej dyspozycji prezydent miasta. Lokal był przepiękny. „Artystami” byli wszyscy uczniowie, od pierwszego do ostatniego oddziału. Sztuki wystawiano w językach polskim i hebrajskim. Rozdawano oczywiście również świadectwa i odznaki dla władających hebrajskim w Diasporze”*. (tłum. z hebrajskiego Sujka Erlichman-Bank).

Inne szkoły żydowskie w Lublinie prowadziły także swoje życie kulturalne. Koło literacko-teatralne istniało przy gimnazjum Szperów, mieszczącym się przy ul. Zamojskiej. Organizowało ono wieczorki poetyckie i koncerty, a uczniowie sięgali po takich klasyków, jak Czechow, Słowacki, czy Szalom Asz, który zresztą bywał przed wojną w Lublinie. Uczniowie ze szkoły im. Borochowa, mieszczącej się na staromiejskim Rynku, występowali również na deskach teatralnych, dając spektakl pt. „Król i ptak”. Nadal w Lublinie pracował miejscowy reżyser teatralny, Jakub Waksman, który do końca pozostał wierny rodzinnemu miastu. Zmarł w lubelskim getcie w 1942 r. Zresztą sami nauczyciele żydowscy w Lublinie reprezentowali wysoki poziom i bardzo aktywnie udzielali się nie tylko na polu pracy zawodowej, ale również bardzo często byli wybitnymi naukowcami, pisarzami, poetami, czy malarzami. Warto wspomnieć tu chociażby Leona-Lejba Szpera, nauczyciela historii żydowskiej w gimnazjum Szperów, ale zarazem również dziennikarza, badacza przeszłości żydowskiego Lublina i autora broszur z zakresu literatury żydowskiej. Taką osobą była również dr Bela Mandelsberg-Szyldkraut, zajmująca się oprócz pracy oświatowej, dziejami Żydów w Lublinie. W Gimnazjum Humanistycznym nauczał Gamiel Doliński, będący zarazem poetą i malarzem. Znanym dziennikarzem, lubelskim był redaktor naczelny „Lubliner Tugblat”, Saul Stopnicki. Obok niego, warto wymienić Jankiela Nissenbauma, męża Beli Szpiro, który także pracował w miejscowej prasie żydowskiej, którą reprezentowały dwie, stale ukazujące się do 1939 r. gazety: wspomniany dziennik „Lubliner Tugblat” i bundowski tygodnik „Lubliner Sztime”. Nie brakowało również i innych czasopism, ale te zazwyczaj okazywały się być efemerydami, jak na przykład „Lubliner Unser Expres”, będący mutacją warszawskiego „Unzer Expresu”.

Liczna inteligencja żydowska w Lublinie, asymilująca się lub trwająca na pozycjach narodowych, ani nietradycyjna młodzież, nie zmieniały bynajmniej w zasadniczy sposób obrazu Lublina jako miasta określanego mianem „twierdzy chasydyzmu i ortodoksji”. Wszak nie na darmo powstała tu uczelnia rabinacka i nadal funkcjonowały liczne chasydzkie domy modlitwy. Przy ul. Jatecznej swoje klausy posiadali chasydzi ze Skierniewic i chasydzi z Kazimierza, przy ul. Zamkowej mieścił się dom modlitwy zwolenników cadyka z Góry Kalwarii (drugi ich dom modlitwy działał przy ul. Nadstawnej), przy ul. Lubartowskiej znajdowało się aż sześć

chasydzkich klausów: chasydów z Parczewa, chasydów z Radzyna, chasydów z Humania, chasydów z Białej Podlaskiej, chasydów z Kozienic i chasydów z Turyńska (Turzyska na Wołyniu), przy Nadstawnej były trzy takie domy modlitwy: wspomniany, zwolenników cadyka z Góry Kalwarii, zwolenników cadyka z Bełza i zwolenników cadyka z Husiatyna. Najwięcej zwolenników miał oczywiście rodzimy cadyk lubelski. W 1939 r. był nim Szlomo Eiger, zarazem ostatni rektor lubelskiej jesziwy. Jego bożnica mieściła się przy ul. Szerokiej 40. W tym samym domu funkcjonował jeszcze jeden dom modlitwy, należący do cechu stolarzy. Przy ul. Szerokiej swoje modlitewnie założyli także chasydzi z Bełżyc oraz chasydzi z Parysowa. Natomiast przy ul. Ruskiej, Hersz Lubelski ufundował dom modlitwy dla chasydów z lubelskiego Czwartku. Każda grupa religijna i zawodowa modliła się we własnych bożniczkach: przy Ruskiej zbierali się rzeźnicy i piekarze, malarze modlili się przy Szerokiej, roznosiciele wody i tragarze przy Nadstawnej. Swoje prywatne domy modlitwy zakładali także lubelscy bogacze. Pejsach Brykman, właściciel garbarni na Kalinowszczyźnie założył taką bożniczkę dla swoich robotników na terenie zakładu. Lekarz ze Szpitala Żydowskiego, dr Dawid Cynberg jeszcze pod koniec XIX w. założył we własnym domu przy ul. Kowalskiej 14 bóżnicę, przy której powstała pierwsza w Lublinie szkoła syjonistyczna. Natomiast na sąsiedniej ul. Rybnej, w domu Borucha Kolberga funkcjonowała bóżniczka religijnych syjonistów z organizacji Mizrahi. Lubelscy Żydzi, mimo wielu przemian, jakie dokonywały się w łonie tej społeczności, pozostawali jednak wierni swojej tradycji, a życie w jednej dzielnicy na Podzamczu i w zaułkach Starego Miasta nie sprzyjało masowej asymilacji, co dla wielu ludzi stało się potem tragedią w okresie II wojny światowej. Brak znajomości języka polskiego oraz obyczajów polskich powodował, że tylko nieliczni decydowali się na przeżycie w kryjówkach, wśród Polaków.

Gdy w 1939 r. do Lublina wkroczyli Niemcy, w mieście znalazło się około 42 tysięcy Żydów. Napłynęli tutaj liczni uchodźcy z zachodniej Polski i bombardowanych miasteczek na Lubelszczyźnie. Bardzo wielu było tutaj mieszkańców Ryk i Kurowa, którzy dotarli do Lublina po prawie całkowitym zniszczeniu ich miejscowości.

Od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej ludność żydowska narażona była na niesamowite szykany ze strony okupanta. Już w 1939 r. wysiedlono Żydów z centralnych ulic miasta, pozbywając ich w ciągu kilku chwil całego mienia. Najbogatsi stawali się nędzarzami. Niejednokrotnie, zamożnym wysiedlonym z centrum miasta przychodziło przenieść się do ubogich krewnych na Podzamczu, do których przedtem nie przyznawali się. Wielu młodych ludzi oraz spora grupa działaczy społeczno-politycznych uciekła z Lublina pod okupację sowiecką. Niektórzy wracali, jak Bela Szpiro, rozczarowani „komunistycznym rajem”.

W Lublinie na początku dziennym były łapanki do obozów pracy w rejonie Bełżca, bicie Żydów na ulicy i w domach, rozmaite szykany, których nie szczędzili im hitlerowcy. Oto, jak wspominała pierwsze dni okupacji hitlerowskiej w Lublinie Ida Gliksztajn: *„Postępowanie Niemców pogarszało się z dnia na dzień. Zatrzymywano przechodzących Żydów i używano do najrozmaitszych robót: do noszenia zakupów, do czyszczenia aut, do ładowania ze zrabowanych sklepów towarów na wozy, do napychania sienników słomą. Tu i ówdzie słyszało się o pobiciu Żyda, o mniejszym lub większym rabunku. Pani H., córka bogatego właściciela domu, miała pięknie urządzone mieszkanie. Przyszli Niemcy, kazali jej po prostu wyjść i sami się wprowadzili [...] Dzień 3 listopada 1939 r. jest pamiętny dla pozostałych przy życiu*

mieszkańców Lublina. W tym dniu miała miejsce pierwsza, większa akcja wyrzucania z mieszkań. Tego dnia, o godzinie 8 rano, przed domem Kenigsberga zaroilo się od mundurów gestapowskich. Stali grupami rozmawiając wesoło i śmiejąc się. Odnosiło się wrażenie, że wybierają się na wycieczkę. Miła to była dla Żydów wycieczka! Esesmani rozproszyli się po całym Krakowskim Przedmieściu i jego bocznicach. Szli od kamienicy do kamienicy i wyrzucali Żydów z mieszkań. Zależnie od charakteru i humoru prześladowcy, właściciel mieszkania otrzymywał do 10 do 30 minut czasu na zapakowanie swoich ruchomości. Co wpadło w oko z droższych rzeczy, to Niemiec zostawiał dla siebie. Panika zapanowała w mieście. Godzina była dosyć wczesna, niejeden był jeszcze w łóżku, kiedy otrzymał rozkaz opuszczenia w ciągu kilku chwil swego mieszkania. Z górnej, ładniejszej części miasta usunięto tego dnia wszystkich Żydów. Większość szukała lokum w Dzielnicy Żydowskiej, to jest na ul. Lubartowskiej i jej przecznicach. Instynkt radził im poprzestać na najskromniejszym mieszkaniu, bo takie właśnie miało stanowić rękojmię spokoju. Około 500 rodzin utraciło tego dnia dach nad głową, wewnętrzne urządzenia mieszkaniowe, meble, pościel, garderobę, bieliznę i zapasy żywności. Mężczyźni, kobiety i dzieci, obciążone paczkami, biegali z jednej ulicy na drugą. Ręczne wózki, furmanki hamowały ruch uliczny. Papiery, fotografie rodzinne i legitymacje fruwały ze wszystkich okien i podrywane wiatrem przenosiły się z rynsztoka w rynsztok".

W 1940 r. wysiedlono całkowicie Żydów z Wieniawy, a ich domy, łącznie z zabytkową synagogą i cmentarzem zniszczono. Wysiedleńcy znaleźli schronienie w obrabowanych już lokalach sklepowych i synagogach na Podzamczu. W tym samym roku do Lublina trafił transport wysiedlonych ze Szczecina niemieckich Żydów, przeważnie starszych osób, wypędzonych w zimową noc ze swoich mieszkań. Wielu z nich zmarło po drodze, inni masowo umierali już w Lublinie. Sujka Erlichman-Bank, która wtedy pracowała w szpitalu Żydowskim, tak opisuje ich los: „W tym okresie przybył do Lublina pierwszy transport Żydów niemieckich ze Szczecina. Młodych wysłali do okolicznych miasteczek, a w Lublinie pozostali wysiedleńcy z domu starców. Starzy i chorzy musieli brnąć wraz z innymi przez zaśnieżone drogi. Dookoła szalała zawierucha. Pacjenci skierowani do naszego szpitala, oprócz innych dolegliwości, cierpieli na odmrożenie kończyn. To była rozpacz. Brak łóżek. Jednego dnia wykonano tutaj ponad 300 amputacji palców i kończyn. [...] Zostałam pielęgniarką odpowiedzialną za oddział, na którym przyjmowano chorych przesiedleńców z Niemiec. Warunki były okropne, leżący na podłodze czekali cierpliwie na łóżka, które zwalniała tylko śmierć. Na oddziale mieliśmy codziennie po 7-8 zgonów. Umierali cicho, bez jęku, nawet podczas posiłku. Było coś przerażającego w tym ciągłym kontakcie ze śmiercią”.

Niemcy utworzyli w Lublinie Judenrat, na czele którego stanął znany działacz społeczny, inż. Henryk Bekker, a jego zastępcami zostali adwokat Marek Alten i kupiec Salomon Kestenberg. Szybko instytucja ta stała się bezwolnym narzędziem w rękach hitlerowców. Urzędnicy Judenratu musieli uczestniczyć w zbiórkach, nakładanych na Żydów kontrybucji w pieniądzu, wełnie i futrach. Żydom odebrano również wszelkie metale. Codziennie, kilka tysięcy ludzi wyruszało z Podzamcza do przymusowej pracy. Największy obóz pracy istniał przy ul. Lipowej, tuż przy cmentarzu. Tu zatrudniono wielu rzemieślników, ale głównym przeznaczeniem tego obozu byli żydowscy jeńcy wojenni z 1939 r. Praca przymusowa na tzw. placówkach, mimo że bardzo nisko płatna, dawała jednak szansę dla wielu ludzi

przeszmuglowania do domów żywności, którą kupowano od Polaków.

W dniu 21 III 1941 r. Niemcy ogłosili w Lublinie utworzenie getta. Początkowo było ono nieogrodzone i obejmowało prawą stronę ul. Lubartowskiej od Kowalskiej, aż po Unicką, ul. Unicką przez ul. Franciszkańską (obecna ul. Podzamcze), wokół Zamku aż do ulicy Podwale i Kowalskiej. Była to tzw. część A, przeznaczona w pierwszej kolejności na zagładę. Część B, gdzie mieszkali urzędnicy Judenratu i rzemieślnicy zatrudnieni w niemieckich firmach, utworzono na części ul. Kowalskiej, ul. Rybnej i części Grodzkiej. Przed utworzeniem getta, Niemcy wysiedlili do małych miasteczek na całej Lubelszczyźnie ok. 14000 osób. W getcie zamieszkało blisko 32 tysiące pozostałych Żydów w mieście. Tu pomieszczono ochronkę dla sierot, których z każdym dniem przybywało, znajdował się tu też Szpital Ogólny, przy ul. Lubartowskiej i Epidemiczny przy Ruskiej. Mimo, że starano się ulżyć coraz większej liczbie ubogich, funkcjonowało kilka kuchni ludowych, gdzie rozdawano cienką zupkę, nędza pogłębiała się. Wraz z nią wybuchła epidemia tyfusu. Oddajmy głos ponownie Sujce Erlichman-Bank, która w ten sposób opisuje lubelskie getto:

„Do Lublina przywieziono dużą ilość wysiedleńców z zachodniej Polski, przeważnie ludność ubogą i z niskich warstw społeczeństwa. Inteligencja, np., z Łodzi i okolicy uciekała do Warszawy wierząc, że stolica będzie miała lepszy los. Niemcy się nie odważą! Łódzka inteligencja była w Warszawie bardzo czynna i zastąpiła brakujących działaczy warszawskich. Budyńki w Lublinie były mniejsze, najczęściej oddzielone od sąsiedniego domu – tak, że wieczorami nie można było się zorganizować. Była także pozytywna strona Lublina. Nędza tutaj była „skromniejsza”. Tu ludzie nie umierali na ulicy. Po prostu konali po cichu w domu, w skupiskach dla wysiedleńców, albo w szpitalach. Można powiedzieć „przyzwoicie”. Również lubelscy nowobogaccy zachowywali się w miarę przyzwoicie”.

Ida Gliksztajn pozostawiła natomiast taki obraz lubelskiego getta:

„Tyfus plamisty przybierał coraz ostrzejsze formy. Śmiertelność w tym okresie zwiększyła się. Żydzi żyli w strasznych warunkach: ciasnota mieszkaniowa, brak opału, trudności ze zdobyciem codziennego chleba, życie na tymczasem, bez nadziei na lepsze jutro. Wszystko to sprzyjało wzmaganiu się epidemii. Lublin nie miał zamkniętego getta, ale swoboda ruchów była z dnia na dzień coraz bardziej ograniczona. Nie wolno było używać Żydom żadnych środków komunikacyjnych. Nie wolno było wydalić się z miasta. Koło, które wokół nas zakreślono, stawało się coraz ciaśniejsze. Głód wypędzał ludzi z warszawskiego getta, obdarci, wynędziali, z narażeniem życia przybywali nie wiadomo jakim cudem do Lublina, który cieszył się jeszcze sławą sytego miasta”.

Getto lubelskie, mimo że mniejsze niż warszawskie, miało jednak swoje instytucje kulturalne. Istniało tu nielegalne szkolnictwo, największą tego typu szkołę prowadził przy ul. Cyruliczej Nochman Korn, nauczyciel z dawnego Gimnazjum Humanistycznego. Na zajęcia przychodziło do niego ponad 20 uczniów. Istniał Komitet Pomocy Robotnikom w Obozach Pracy oraz Komitet Pomocy Wysiedleńcom. W kuchni ludowej zatrudnienie znaleźli ci działacze społeczni, którzy nie zbiegli z Lublina. Pracowała tam m. in. Bela Dobrzyńska. Bela Szpiro próbowała w podziemiu organizować dawnych działaczy Bundu. Została za to aresztowana przez Gestapo i zginęła w do dzisiaj niewyjaśnionych okolicznościach.

Likwidacja Żydowskiej Dzielnicy Zamkniętej w Lublinie rozpoczęła się w nocy z 16

na 17 marca 1942 r. Niemcy ogłosili, że wysiedlani z Lublina Żydzi pojedą na Wschód, do pracy. W rzeczywistości transporty kończyły swój bieg w obozie zagłady w Bełżcu. Lubelskie getto było pierwszym, które hitlerowcy zaczęli likwidować w Generalnym Gubernatorstwie. Złapanych w domach i na ulicach ludzi lokowano tymczasowo w Synagodze Maharszala, skąd po wstępnej selekcji odprowadzano ich na rampę kolejową za Rzeźnią Miejską. Codziennie, z Lublina do Bełżca wysyłano transport liczący 1400 osób. Ludzi zabijano również w domach, na ulicach i w synagodze, której ściany zachlapano krwią. Tak opisuje te dni Ida Gliksztajn: *„Kto miał krewnych lub przyjaciela wśród uprzywilejowanych posiadaczy stempelków i mieszkań w małym getcie (chodziło o osoby zatrudnione w niemieckich firmach – przyp. autora artykułu), ten łudził się jeszcze nadzieją. Przybywali tam z dziećmi, tobołami i w każdym mieszkaniu było po kilka rodzin. Piekło? Nie, piekło nie mogło tak wyglądać, jak życie w getcie. Ludzie oszaleli, podłość panoszyła się obok bohaterstwa, skrajny egoizm obok przykładów niezwykłego poświęcenia. Co noc odbywały się selekcje, wszyscy musieli z dokumentami przemaszerować przed stolikami ustawionymi na ulicy, przy których urzędowali Niemcy i Żydowska Służba Porządkowa. Co noc była inna niespodzianka. Rodziny rzemieślników, zatrudnionych w obozie przy ul. Lipowej 7, były pewne swej nietykalności i śmiało poszły do kontroli. Mimo to zabrano ich wszystkich, a nie przeczuwali przecież nic złego. Niemcowi nie należało ufać. Dlatego zdarzało się często, że ocalał ten, który nie miał żadnego Ausweisu, bo ten się krył, a właściciel kilkunastu świstków szedł na pewniaka i wpadał. I zatrudnieni już stracili wszelki punkt oparcia, bo rozumiano, że Niemcy muszą mieć kontygent, że im wszystko jedno kto pójdzie, że zatrudnionego zawsze może zastąpić drugi, który leży ukryty teraz w piwnicy. Żyd jest Żydem i w tym sedno rzeczy. Co noc musi pójść taka a taka liczba ludzi i nie ma pardonu. Więc znów stara śpiewka: „Najlepsze ... już tylko garstka tych najpewniejszych”.*

Zlikwidowano obydwa szpitale, mordując część chorych na miejscu, innych pod Dysem. Dzieci z Ochronki rozstrzelano na Tatarach, na łąkach, w okolicy dzisiejszej ulicy Odlewniczej – do dzisiaj nie ma tam nawet najskromniejszej tablicy pamiątkowej. Hitlerowcy zredukowali Judenrat i większą część jego urzędników, osób dotychczas nietykalnych, na czele z prezesem inż. Bekkerem deportowali ich do Bełżca w dniu 31 III 1942 r. Jak wielka nieświadomość panowała wtedy wśród pozostających w Lublinie urzędników, świadczy fakt, że deportowanym kolegom przyznali na drogę po 500 złotych. Przecież Niemcy powiedzieli, że jadą organizować w Bełżcu nowy Judenrat lubelski.

W końcu na początku kwietnia 1942 r. Niemcy nakazali przenieść się pozostałym w Lublinie około 5000 Żydów do nowego getta. Zorganizowano je na Majdanie Tatarskim, w maleńkich domkach. Prawo do zamieszkania mieli tylko ci, którzy posiadali tzw. „J-Ausweis”, nowy dokument wydany nielicznym. Mieszkań na Majdanie było dla około 2000 osób, przeniosło się tam nie tylko 5000 legalnych, ale dodatkowo jeszcze 2000 nielegalnych, nieposiadających żadnych dokumentów, więc skazanych na zagładę. Ludzie pozajmowali strychy, piwniczki, komórki, chlewiki, drewutnie, a mimo to jeszcze bardzo wiele osób nocowało pod gołym niebem.

Na samym początku, bo już 20 kwietnia, Niemcy dokonali niespodziewanej selekcji na Majdanie. Wyłapywano wtedy nielegalnych mieszkańców getta. Rozstrzelano ich w Lesie Krępieckim. Liczba mieszkańców „wzorcowego getta”, jak nazywali Niemcy

Majdan Tatarski, została zredukowana o połowę. Oddajmy znów głos Idzie Gliksztajn: *„Po kilku dniach rozeszła się wieść, że wszystkich zabranych 20 kwietnia zawieziono do lasu w Krępcu i tam zastrzelono. Miał to opowiedzieć jakiś chłop, do którego nocą zapukała zupełnie naga dziewczyna. Udało jej się uciec i opowiadała, że wszystkich ogołoco z plecaków i ubrań, a potem zabito kulami z karabinów maszynowych. Słowa te zostały potwierdzone jeszcze przez innych świadków, którzy słyszeli serie karabinowe. Łatwo sobie wyobrazić, jak te wieści na nas podziały. Przygnębienie stawało się naszym stanem chronicznym, nerwowy niepokój dręczył i odbierał sen. Kto mógł pracować w myśl życzeń niemieckich? Komu chciało się uprawiać ogórki i siać kwiaty? A jednak musiało się, bo Niemcy grozili odebraniem mieszkania, jeśli ogródek będzie leżał odłogiem. Po ulicach osiedla snuli się ludzie cierpiący i zrozpaczeni, co krok spotykało się ludzi starszych, z brodami do pasa, którzy głośno płacząc, opowiadali o swoich stratach przygodnie spotkanemu znajomemu. Męczył nas wieczny strach przed następnym wysiedleniem, bo wiedzieliśmy, że na tym nie koniec. Nie było mieszkań, a ludzi wciąż przybywało: z Warszawy, z miasteczek, ze wsi, z „aryjskiej części” Lublina. Fama niosła, że my jesteśmy bezpieczni, że Majdan jest azylem, ustanowionym przez Niemców”.*

W tym czasie na Podzamczu, Niemcy rozpoczęli wyburzanie dawnej dzielnicy żydowskiej. Zlikwidowano ludność żydowską, więc zaczęto likwidować i materialne świadectwo po niej – historyczne Żydowskie Miasto w Lublinie. Zniszczono wszystkie zabytkowe synagogi, łącznie z synagogą Maharszala, chociaż jej resztki – zabytkową bimę rozebrano ostatecznie dopiero w połowie lat 60-tych. Zniknęły z powierzchni ziemi: Krawiecka, Zamkowa, Podzamcze, Jateczna, Szeroka, większa część Nadstawnej, Ruskiej i Furmańskiej. Niewiele do dzisiaj ocalało osobistych pamiątek po lubelskich Żydach z miejscowego getta. Kilka fotografii, kilka niedostarczonych lub niewysłanych listów, kilka dokumentów osobistych – wszystko mieści się w jednej teczce, znajdującej się w lubelskim Archiwum Państwowym. Dewastacji uległy również lubelskie cmentarze żydowskie. Jak na ironię, ten najcenniejszy, Stary Cmentarz na Kalinowszczyźnie, chociaż zniszczony, miał więcej szczęścia. Najstarsze nagrobki zachowały się. Więcej zniszczeń dokonano na nim już po wojnie. Nowy Cmentarz przy ulicy Unickiej zniszczony został prawie całkowicie, a częścią jego nagrobków wybrukowano Rogatkę Lubartowską i drogę dojazdową do krematorium na Majdanku.

O dewastacji lubelskiego Nowego Cmentarza żydowskiego opowiada Dina Herszenhorn, jedna z ocalałych z lubelskiego getta: *„Mój brat, zginął w czasie nalotu w 1939 r. miał nagrobek na drugiej części cmentarza (po drugiej stronie ulicy Andersa – przyp. autora artykułu). Był to malowany pomnik. W czasie okupacji, dopóki mogłam chodziłam na jego grób, dlatego pamiętam, że ten cmentarz był wtedy większy niż obecnie. Starsza część cmentarza była bardziej elegancka. Tam znajdowały się marmurowe pomniki lekarzy i inżynierów, a na tej drugiej były wytyczone alejki, osobno chowano kobiety, a osobno mężczyzn, były jakieś skromne pomniki. Grób mojego brata znajdował się prawie na końcu cmentarza – tam teraz stoją jednorodzinne domy. Gdy po wyzwoleniu przyszłam na cmentarz, nie mogłam już znaleźć grobu brata. Cmentarz był zniszczony. Niemcy nie zniszczyli tylko ohelu Eigerów – cadyków. Ludzie mówili, że może bali się świętego cadyka”.*

Los ludności żydowskiej Lublina dopełnił się ostatecznie 9 listopada 1942 r. Już

wcześniej, 2 września dokonano częściowej likwidacji getta na Majdanie. Po tym wysiedleniu zostało tam nieco ponad 1000 osób. Kto mógł starał się uciekać i ukrywać na „aryjskiej stronie”. Gehennę kryjówek przeżyli nieliczni. Inni nie mieli szans, bo mieli albo semicki wygląd, albo źle mówili po polsku, albo nie mieli polskich przyjaciół. O ich sytuacji pisała Ida Gliksztajn: *„Spotkałam dr Płotkina i we wzroku jego wyczytałam tyle popaczy, że doznałam wstrząsu. Miał dwóch synów, cała rodzina miała wybitnie semicki wygląd i nie mógł znaleźć żadnej drogi ocalenia. Już po likwidacji dowiedziałam się, że na próżno kołatał do swoich byłych aryjskich znajomych i pacjentów o pomoc. Ludzie uciekali pojedynczo i grupami. Mecenasowa Szlafowa wywiozła swoją córeczkę do małego miasteczka, do polskiej rodziny. Doktor Holcberg też oddał swą dwuletnią jedynaczkę do Polaków. Obie te dziewczynki żyją, ale cóż z tego? Są sierotami”.*

Rankiem, 9 listopada 1942 r. Niemcy otoczyli getto na Majdanie i wypędzili jego mieszkańców do obozu na Majdanku, gdzie większość z nich zamordowali w obozie, by ostatecznie wymordować ich w wielkiej egzekucji 3 listopada 1943 r. Na terenie getta pozostało sporo osób w kryjówek. Tych mordowano na miejscu tak, jak rozstrzelano na miejscu część urzędników Judenratu na czele z ostatnim prezesem, adwokatem Altenem. Tu zginęli również żydowscy policjanci, którym nakazano poszukiwać ukrywających się w schronach. Pacjentów szpitala oraz niemowlęta, które pozostawiły w tymże szpitaliku matki, licząc, że Niemcy nie wejdą tam, zastrzelono w łóżkach. Wiele osób zmarło w kryjówek z głodu. Po wywiezieniu ludzi, a następnie rabunku ich mienia, getto podpalono. Jeszcze przez wiele miesięcy polowano na Żydów na ulicach Lublina. Wielu z nich popełniało samobójstwo w kryjówek na terenie miasta, jak np. wspomniany dr Nison Płotkin, gdy wymówiono mu miejsce po „aryjskiej stronie”. Społeczność żydowska w Lublinie przestała istnieć. Nieliczni, którzy ocaleli, po wojnie wyemigrowali z Polski, nie chcąc żyć na cmentarzysku. Wraz z ludźmi zginęło Żydowskie Miasto i jego pamiątki. Rozproszeni po całym świecie lubelscy Żydzi, zachowali je jedynie w pamięci. Pamięć o bogatej społeczności żydowskiej powoli zaczyna docierać również do Polaków, którym pozostaje tylko lektura dokumentów, wspomnień i kilka cudem ocalałych zabytków w Lublinie.

Wyobraźmy sobie dwie mapy międzywojennej lub rozbiorowej Polski – mapę tradycyjną, znaną nam z polskich atlasów oraz mapę sporządzoną z punktu widzenia żydowskiego mieszkańca, lecz tego niezasymilowanego, posługującego się w życiu codziennym przede wszystkim językiem jidysz. Mapy te będą się różnić od siebie nie tylko nazwami – Warszawa ● Warsze, Kraków ● Kroke, Kazimierz Dolny ● Kuzmir, Góra Kalwaria ● Ger – lecz także znaczeniem miejsc, które reprezentują dla danej społeczności i wachlarzem wywoływanych przez nie skojarzeń. Może okazać się, że jakaś nieznana z polskiego punktu widzenia miejscina stanowi ważne centrum myśli judaistycznej, cel pielgrzymek tysięcy chasydów, inne zaś miejsce, istotne z punktu widzenia historii Polski w ogóle nie znajduje się na żydowskiej mapie. W przypadku zaś większych miast powody, dla których figurują one na obydwu mapach mogą być również odmienne. Lublin będzie się kojarzył ortodoksyjnym Żydom niekoniecznie jako miejsce zawarcia unii Polski z Litwą, lecz jako siedziba dawnego żydowskiego sejmiku i słynnej jesziwy; Kraków stanowi nie tylko miejsce spoczynku polskich królów, ale także słynnego szesnastowiecznego mędrca Moszego Isserlesa zwanego Remu, a Nowogródek to nie tylko miejsce urodzin Adama Mickiewicza, ale miasto słynne z wypieku pesachowej macy.

Podobnie będzie ze skojarzeniami literackimi. Współczesnemu Polakowi interesującemu się literaturą, Lublin skojarzy się z poezją Józefa Czechowicza, z postaciami Biernata z Lublina i Jana Kochanowskiego, Kazimierz nad Wisłą z Marią Kuncewiczową, Zamość z Akademią Zamojską, Chełm natomiast nie wzbudzi chyba żadnych skojarzeń. Natomiast znawca literatury jidysz natychmiast połączy Lublin z postacią poety Jakuba Glatzstejna, Kazimierz z powieścią Szaloma Asza, Miasteczko, Zamość będzie mu znany jako miejsce urodzenia klasyka literatury jidysz Icchoka Lejba Pereca, Chełm zaś jako miasto słynnych „mędrców” będących w istocie głupcami pojawiających się tak często w humorze i folklorze żydowskim. Pisarzem, który sprawił, że dla niektórych czytelników obie mapy zaczną nakładać się na siebie i którego nazwisko wywoła obraz Lublina i okolicznych miasteczek w wyobraźni zarówno polskiego jak i żydowskiego czytelnika oraz czytelników innych krajów jest dopiero Isaac Bashevis Singer.

Ciekawe byłoby porównanie obrazu i znaczenia Lublina i Lubelszczyzny u pisarzy polskich i pisarzy literatury jidysz. Choć temat ten przekracza ramy niniejszej prezentacji, można chyba zaryzykować tezę, że zarówno Lublin jak i okoliczne miasteczka częściej pojawiają się i zajmują ważniejsze miejsce w literaturze żydowskiej (określenia literatura żydowska używam tu wymiennie z określeniem „literatura jidysz” i ograniczam swój wywód do tych pisarzy, którzy posługiwali się wyłącznie lub przede wszystkim językiem jidysz) niż polskiej. A jeśli tak, to dlaczego? Być może Lublin, znajdujący się zwykle na drugim planie historii i kultury polskiej odegrał istotniejszą rolę w historii polskich Żydów.

Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego omówienia twórczości Singera i Glatzstejna, prozaika i poety, jednego pośrednio, drugiego zaś bezpośrednio związanego z Lublinem, zatrzymajmy się na chwilę przy postaciach wspomnianych już wyżej dwóch pisarzy, których życiorys czy twórczość łączy się w pewnym stopniu z Lubelszczyzną.

Icchok Lejb Perec z Zamościa (1852-1915) to klasyk literatury jidysz o silnych powiązaniach z kulturą polską. Znał dobrze polski i odczytany był w polskiej

literaturze. Próbował pisać utwory poetyckie po polsku, zachowały się także jego listy do narzeczonej pisane w tym języku. Znany jest przede wszystkim z opowiadań, m. in. opowiadań chasydzkich oraz dramatów, takich jak *W nocy na starym rynku* i *Złoty łańcuch*, poetyckich i symbolicznych, mogących u polskich odbiorców budzić skojarzenia z twórczością dramatyczną Stanisława Wyspiańskiego. Twórczość Pereca jest, niestety, zupełnie nieznaną polskim czytelnikom. Jedynym powojenne wydanie jego utworów to *Wybór opowiadań* w serii Biblioteki Narodowej z roku 1958. Jest on jedynym spośród wspomnianych w tym eseju twórców, który pochowany został w Polsce na cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej wraz z Jakowem Dinezonem i Sz. A. Anskym. Pozostali spoczęli daleko od miejsc, z których pochodzili.

Drugim klasykiem literatury jidysz, o którym warto wspomnieć w tym kontekście jest **Szalom Asz** (1880-1957), pisarz niezwykle płodny, autor opowiadań, powieści i dramatów. Jego *Dos sztetł* (Miasteczko) to wyidealizowany, poetycki opis polsko-żydowskiego miasteczka, przysłowiowego sztetł. Wprawdzie w powieści nigdy nie padają nazwy Kazimierza czy Wisły (a niektórzy wręcz twierdzą, że prototypem jest rodzinne miasto pisarza – Kutno), ale na właściwy trop naprowadzają nas opisy dnia targowego na rynku, letnich wieczorów nad wodą, przewoźnika mieszkającego w chatce nad brzegiem rzeki. O ile w *Dwóch księżycach* Kuncewiczowej Żydzi stanowią element egzotyczny, tło raczej niż postaci pierwszoplanowe, tak tu mamy do czynienia z odwrotną sytuacją: opis koncentruje się wokół żydowskiej społeczności miasteczka. Na marginesie tylko pojawia się: „Stefan, jedyny chrześcijanin w ulicy”, który „gra swojej dziewczynie pieśni miłosne, a tony harmonijki zlewają się z żalosnym zawodzeniem modlącego się w synagodze i tworzą smutną, wstrząsającą melodię, która w głębi uliczki cichnie i kona”. Trudno dzisiaj czytać podobne opisy bez świadomości, że przedstawiana w nich rzeczywistość została w tak tragiczny sposób unicestwiona. Każde zdanie zaczyna nabierać symbolicznego znaczenia, niczym „smutna, wstrząsająca melodia”, a realistyczne obrazy, codziennego, zwyczajnego życia stają się dla współczesnego odbiorcy niemal surrealistyczne:

„Na rynku przekupki sprzedają już zielone jabłka i ładne czerwone gruszki, parę za dwojaka. Chłopiec trąbi w kaczy gardziel, a za nim leci cała chmara towarzyszków. Dziewczyna pędzi z wątpliwym drobiem do bożnicy do rabina, po decyzję czy można kurę zjeść. Kobieta niesie na talerzu, odpowiadając przepisom, kaczkę do piekarza chrześcijanina [...] Na rynek zajeżdżają fury, natłoczone chasydami, starymi i młodymi, którzy przybywają na sabat Pocięchy do swego cadyka. W miasteczku roi się od nowych twarzy. Mężczyźni chodzą tak swobodnie i wesoło jak w Jerozolimie – w czapkach futrzanych, w trzewikach i białych pończochach, mają długie pejsy i palą fajki. W miasteczku panuje coraz większe ożywienie, coraz wyraźniejszy nastrój piątkowy, wszyscy biegają i śpieszą. Słońce również tak „piątkowo” stoi nad miasteczkiem i zsyła światło, nie wybierając długo na co paść mają jego złociste promienie, kogo oświetlać mają”.

A zatem Kazimierz to – podobnie jak niektóre inne miasta i miasteczka dawnej Polski – Jerozolima nad Wisłą, motyw jakże często pojawiający się u pisarzy żydowskich i polsko-żydowskich, czyli tych piszących w języku polskim, ale o silnej tożsamości żydowskiej. Nic dziwnego zatem, że w okresie międzywojennym Kazimierz nad Wisłą był ulubioną scenerią dla producentów filmów w języku jidysz,

m. in. tak znanych i wybitnych dokonań jak *Jidł mitn fidł* czy *Der Dybuk* zrealizowany na podstawie sztuki Ansky'ego. Współczesne pokolenie Polaków nie potrafi sobie wyobrazić takiego miasteczka, trudno je sobie także wyobrazić młodym pokoleniom Żydów z Izraela i Ameryki, dla których Polska to przede wszystkim cmentarz narodu żydowskiego. Polski czytelnik nie przeczyta także *Miasteczka Asza*. Jedyne wydanie pochodzi z 1911 roku i znajduje się tylko w niektórych bibliotekach. A jedyna książka *Asza* dostępna współczesnemu czytelnikowi to *Mąż z Nazaretu* (wydana przez Wydawnictwo Dolnośląskie w serii „Biblioteka Pisarzy Żydowskich” w 1990 roku), powieść o zupełnie już innym charakterze, ukazująca zainteresowanie pisarza chrześcijaństwem, które to zainteresowanie i związana z nim twórczość sprawiły, że stał się postacią kontrowersyjną dla żydowskich czytelników. W znacznym stopniu kontrowersyjny ze względu na sposób przedstawienia między innymi takich miasteczek jak Kazimierz i ich dawnych mieszkańców był – o czym nie wszystkim wiadomo – **I. B. Singer** (1904-1991). Rozsławił on Lublin, nadając jednej ze swoich powieści tytuł *Sztukmistrz z Lublina*. Również opowiadanie *Jentł*, które posłużyło jako kanwa słynnego musicalu z Barbrą Streisand ma częściowo za tło Lublin, który przedstawiony jest w filmie z istic hollywoodzkim rozmachem. Film kręcony był w Pradze, nic dziwnego więc, że miasto prezentuje się dużo lepiej niż miało to miejsce w rzeczywistości. Z drugiej jednak strony ta musicalowa, amerykańska wersja jest w pewnej, metaforycznej i symbolicznej warstwie, prawdziwa, bowiem Lublin był dla przybywających z głębokiej prowincji Żydów niemalże metropolią. Przez wiele wieków, a zwłaszcza w wiekach siedemnastym i osiemnastym, Lublin stanowił ważne centrum w życiu polskich Żydów. Tutaj corocznie zbierał się Waad Arba Aracot, czyli Synod Czterech Ziem zwany także Sejmem lub Zjazdem. Ów sejm żydowski istniejący w okresie autonomii żydowskiej w Polsce (1581-1764) obejmował początkowo Wielkopolskę i Małopolskę, a później również Ruś i Litwę. Jego zaczątkiem był sąd rabinacki odbywający się na jarmarkach w Lublinie. W okresie swojej świetności miasto było nierzadko zwane „żydowskim Oxfordem” ze względu na wysoki poziom nauczania w tutejszej jesziwie, a także fakt, że z miejscowych drukarni wychodziły pięknie wydane święte księgi. Nieprzypadkowo zatem Lublin pojawia się tak często w utworach Singera, zarówno w powieściach, opowiadaniach, jak i jego twórczości dla dzieci. Tutaj toczy się częściowo akcja *Szatana w Goraju*, pierwszej i najlepszej chyba powieści Singera, z Lublina pochodzi „ostatni demon” ze słynnego opowiadania znanego w wersji angielskiej pod tymże tytułem, a ulicą Lubartowską przechadzają się porzucające ortodoksyjny sposób życia strojnisi. Lublin to prawdziwa metropolia dla przybyszów z zapadłych miasteczek, tak małych, że jak powiada „ostatni demon”, kiedy „fura przejeżdża przez miasteczko i koń pojawia się na rynku, tylne koła wozu są jeszcze na rogowatce”. Stąd często wzmianki typu: „przyjechali dygnitarze z samego Lublina”, „nawet w Lublinie nie słyszano o czymś podobnym”, czy „nie noszono takich modnych ubrań” – dla podkreślenia ekstrawaganckich strojów elegantki z Izbicy czy Frampola. Miasto to może również służyć za miejsce schronienia. Oto charakterystyczny opis atmosfery panującej w społeczności żydowskiej Lublina w drugiej połowie XVII w. po pogromach Chmielnickiego z powieści *Szatan w Goraju*:

„W Lublinie reb Bejnusz zajęty był dniem i nocą. Tysiące niewiast zostało po latach 1648 i 1649 agunami i sąd rabinacki nieraz musiał przymykać oko na prawo i uwolnić je z więzów małżeńskich. We frontowych izbach siedziby kahału, gdzie reb Bejnusz urzędował razem z innymi wielkimi rabinami, bez przerwy słyszało się płacz kobiet.

Wędrowały na piechotę od miasta do miasta, sprawdzając w pinkasach bractw pogrzebowych, czy nie ma tam imion ich mężów. Niektóre musiały zdobyć chalicę i narzekały na szwagrów żądających zapłaty. Wiele razy zdarzało się, że jakaś niewiasta wyszła za mąż, a potem wracał jej pierwszy mąż, który wyrwał się z niewoli tatarskiej lub którego gmina w Stambule wykupiła z jasyru i odesłała do Polski. Wokół budynku Synodu Czterech Ziem kręcili się swaci kojarzący pary i domagali się zadatków; żebracy szarpali za poły; na pół lub całkiem pomyleni śmiali się, płakali, śpiewali. Płatały się tam także sieroty pozbawione ojca i matki, opuszczone i pokryte wrzodami, zuchwale żądając wsparcia. Każdego dnia przybywał postaniec z jakiejś żydowskiej gminy i opowiadał o różnych nieszczęściach spowodowanych przez kozactwo Chmielnickiego i szwedzkich żołnierzy. Dość często reb Bejnuś prosił Boga, aby go zabrał z tego świata, bowiem nie miał już sił wysłuchiwać relacji o tylu cierpieniach [...].”

Mimo straszliwych zniszczeń zadanych przez oddziały Chmielnickiego, życie w żydowskim Lublinie toczy się dalej, a Jom Kipur w latach pięćdziesiątych XVII w. nabiera jeszcze większej wymowy:

„Wąskie uliczki w Lublinie oświetlone zachodzącym słońcem pełne były teraz biało ubranych Żydów wyglądających jak nieboszczycy w całunach. Niewiasty nosiły białe suknie z trenem, przepasane jedwabnymi szarfami, obwieszane były perłami i grubymi naszyjnikami, szpilkami i bransoletami, broszami i długimi kolczykami, drżącymi i migoczącymi. Te, które tego roku owdowiały lub straciły dzieci biegały z rozpostartymi rękami, jakby kogoś ścigały, lamentowały jak szalone i wykrzykiwały ochryłym głosem ciągle te same słowa. Sąsiedzi, którzy przez cały rok wojowali, obejmowali się teraz i przywierali do siebie kołyszając się na boki jakby już nic nie mogło ich rozdzielić. Młode mężatki kroczyły ulicami szybko i pewnie, niosąc w jednej ręce pozłacane modlitewniki, a drugą podtrzymując treny; śmiały się przez łzy i rzucały sobie na szyję. Cztery dziewczki dźwigały na czerwonym wyściełanym krześle stuletnią niewiastę, która już nie mogła chodzić. Jej złota suknia płonęła w zachodzącym słońcu, wysoki czepiec wysadzany gęsto koralami i drogocennymi kamieniami błyszczał wszystkimi barwami tęczy, a długie atlasowe wstążki trzepotały na wietrze. Drobną starowina, zgięty w kułak, z białą, rozwichrzoną brodą, stał wsparty na kulach i wyciągał sine drżące ręce niczym ślepiec, błogostawiając przechodzących ludzi – dorosłych i dzieci. Cała ulica Bóżnicza zastawiona była niskimi stoliczkami z talerzykami na datki. Żebracy, kaleki, głuchoniemi, niemowcy – wszyscy siedzieli na podnóżkach i liczyli srebrne i miedziane monety, którymi tłum odkupywał własne winy przed świętym dniem. Lubelski pokutnik, Jerucham, stał, jak każdego roku, przy wejściu na podwórko bożnicy, bosi i rozchełstany. Wyłamując palce lamentował grubym głosem nad swymi grzechami:

- Żydzi, wybaczcie mi, Ży-dzi! Li-to-ści! Li-to-ści!...”

(przeł. Monika Adamczyk-Garbowska i Chone Shmeruk)

Singerowskie opisy Lublina nie są tak dokładne pod względem topograficznym jak opisy Warszawy, przy okazji których ciągle padają nazwy ulic i placów, a nawet numery domów. Trudno się temu dziwić. W Lublinie nigdy pisarz nie mieszkał, natomiast w Warszawie spędził większą część dzieciństwa i młodości i znał tam niemal każdą ulicę i dom, zwłaszcza w dzielnicy żydowskiej. Także akcja Sztukmistrza z Lublina rozgrywa się w dużej mierze w Warszawie, Lublin nie jest

metropolią, nie daje mu bowiem żadnych perspektyw: marzy mu się Warszawa, a nawet inne stolice europejskie, chciałby zawojować cały świat. Ale los prowadzi go z powrotem do rodzinnego miasta. Kiedy pod koniec powieści rezygnuje ze swojej kariery sztukmistrza, zamyka się w małej komórcie na podwórku swego lubelskiego domu, aby oddzielić się od ludzi i świata. Spędza dni na modlitwie i medytacjach. Znosi zimno i głód, i nie jest już zwany Jaszą Sztukmistrem, lecz jako Jasza Pokutnik zdobywa niezamierzoną i jakże Iną od wcześniej upragnionej sławę – do Lublina ciągną teraz do niego pielgrzymki bogobożnych Żydów niczym do rabina cudotwórcy. Lublin bowiem to miejsce stosunkowo bezpieczne i głęboko osadzone w tradycji społeczności żydowskiej w Polsce. Nie powinien nas zatem dziwić ten oto opis:

„Zapadł zmierzch. Za miastem było jeszcze dość jasno, ale w wąskich uliczkach i między wysokimi budynkami panował już mrok. W sklepach zapalano lampy naftowe i świece. Ulicami szli brodaci Żydzi w długich kapotach i butach z szerokimi cholewami, w drodze na wieczorne modły. Księżyc był na nowiu, księżyc miesiąca Siwan. Na ulicach stały wciąż kałuże, ślady wiosennego deszczu, choć cały dzień słońce mocno grzało. Tu i ówdzie ze ścieków wyływała cuchnąca woda; powietrzem niósł się zapach końskiego gnoju i krowiego łajna oraz świeżo udojonego mleka. Z kominów unosił się dym; gospodynie przygotowywały posiłek wieczorny [...]. Na świecie wszędzie poza Lublinem wrzało. Co dzień polskie gazety zamieszczały wiadomości o wojnie, rewolucji lub kryzysie. Wszędzie wypędzano Żydów ze wsi. Wielu emigrowało do Ameryki. Ale tu, w Lublinie, odczuwało się tylko stabilność z dawna istniejącej społeczności. Niektóre synagogi zbudowano jeszcze za czasów Chmielnickiego. Na cmentarzu leżeli rabini, jak również autorzy komentarzy, prawnicy i święci, a każdy miał własny nagrobek lub kapliczkę. Panowały tu dawne obyczaje; kobiety zajmowały się interesami, mężczyźni studiowali Torę.”
(przeł. Krystyna Szerer)

Bardzo często w „lubelskich” utworach Singera pojawia się nazwa Piaski. Występuje ona w odniesieniu do dwóch miejsc. Piaski – miasteczko, oddalone o około dwadzieścia kilometrów od Lublina, znane z twórczości Singera jako miasto złodziei oraz Piaski – dzielnica Lublina, obejmująca dawniej teren w klinie między rzeką Czarniejówką, a obecną ulicą 1 Maja, zwana także Kazimierzem. Owe Piaski posiadały pewne przywileje i prawo końskich jarmarków. Uformował się tu nawet obudowany rynek w kształcie regularnego czworoboku, ongiś umiejscowiony na obszarze dzisiejszego rozjazdu – pl. Bychawskiego.

Oprócz Lublina karty utworów Singera pełne są nazw miasteczek Lubelszczyzny, Chełmszczyzny i Zamojszczyzny. To właśnie w takich położonych na końcu świata Frampolach i Gorajach rozgrywają się ludzkie dramaty, którym częściej niż Bóg towarzyszą demony i dybuki.

Większość opisów małych miasteczek wzorowana jest na Biłgoraju, gdzie pisarz spędził w sumie pięć lat swego dzieciństwa i młodość. Tu obserwował życie swojej własnej rodziny i ich przyjaciół, tutaj wysłuchiwał zabarwionych bogato folklorem opowieści, które później przetworzy w swej wyobraźni w prawdziwe arcydzieła. Lubelszczyzna, a zwłaszcza okolice Biłgoraja przedstawione są jako kraina na pół mityczna, raj na ziemi. Opisane za pomocą impresji i obrazów, nie zaś dokładnych danych topograficznych, przypominają w dużym stopniu Ziemię Świętą:

„W gasnącym świetle dnia wszystko wydawało się piękniejsze, kwiaty drzew bardziej

wyraźne, wszystko było zielone, soczyste, promieniujące światłem zachodzącego słońca i aromatyczne [...] Wydawało się, że te pola, łąki i mokradła muszą przypominać ziemię Izraela. Synowie Jakuba paśli w pobliżu owce [...] Iszmaelici wkrótce przybędą na wielbłądach, ich osły i muły obciążone migdałami, goździkami, figami i daktylami [...].

Ujrzeliśmy jakąś rzekę, ale matka powiedziała, że to nie Wisła. Potem pojawiły się krowy: brązowe, czarne, łaciate [...] Świat wydawał się otwartym Pięcioksięgiem. Księżyc i jedenaście gwiazd pochylało się nad Józefem, przyszłym władcą Egiptu [...] Między Zwierzyńcem a Biłgorajem krajobraz był zachwycający. Jechaliśmy przez lasy łąki, mijając od czasu do czasu chatę krytą strzechą lub biały domek kryty gontem [...] Choć moja matka już wcześniej wychwalała Biłgoraj, okazał się on ładniejszy nawet niż jej opisy. Otaczające go lasy wyglądały z oddali jak błękitna wstęga. Domy tonęły w ogrodach i sadach; stały przed nimi ogromne kasztany, jakich nie widziałem nigdy w Warszawie, nawet w Ogrodzie Saskim. W miasteczku panował błogi spokój, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem, pachniało świeżym mlekiem i dopiero co rozczynionym ciastem. Wojny i nędza wydawały się być daleko stąd.

Dom dziadka, stary, zbudowany z pobielonych beli, o dachu porośniętym mchem i z ławą pod oknami, znajdował się w pobliżu bożnicy, mykwy i przytułka dla ubogich [...] Ciotka poczęstowała nas ciastem z suszonymi śliwkami, które smakowało tak jakby je upieczono w raju [...] Głosy ptaków, świerszczy i innych owadów dzwoniły mi w uszach [...], a kiedy uniosłem wzrok zobaczyłem biłgorajską bożnicę, a za nią pola rozciągające się do skraju lasu. Miały przeróżne kształty i barwy, kwadratowe, prostokątne, ciemnozielone i żółte [...] Marzyłem, aby móc tutaj zostać na zawsze".
(z tomu Dzień przyjemności, przeł. Monika Adamczyk-Garbowska)

Podobnych uczuć doznają bohaterowie powieści i opowiadań Singera, którzy po podróżach po zachodzie Europy wracają na jakiś czas w rodzinne strony. Jednakże takie sielankowe opisy wsi i miasteczek pozbawione są zwykle Polaków, mogących zagrozić owej wyidealizowanej wizji. Choć Polska jako kraj, ziemia, wydaje się chwilami rajem dla narodu żydowskiego, prawdziwym Po-lin, miejscem spoczynku i osiedlenia, nad twórczością Singera wisi wizja Zagłady, świadomość, że Żydom nie dane będzie zostać tutaj „na zawsze”. Jak już wspomniałam wyżej Singer był pisarzem kontrowersyjnym dla wielu żydowskich krytyków i czytelników. Kwestionowano jego przynależność do żydowskiej tradycji kulturowej ze względu na niekonwencjonalny do niej stosunek, zarzucano mu bezczeszczenie tradycji, desakralizację sztetł. Jednym z jego adwersarzy był pochodzący z Lublina Jakub Glatzstejn, wybitny poeta i krytyk, który pisząc o Singerze zastanawiał się, dlaczego „pisarz tak głęboko zakorzeniony w języku jidysz znajduje większe uznanie w obcym świecie niż swoim” i znalazł odpowiedź na to pytanie w stwierdzeniu, że „opowieści Bashevisa mają żydowską fasadę, ale paradoks polega na tym, że czytają się lepiej i przyjemniej w wersjach angielskich niż w oryginale. Jego opowieści są bardziej dostosowane do nieżydowskiego niż żydowskiego czytelnika, dla którego utwory Bashevisa stanowią niesmaczny zlepek przesądów i tandetnej mistyki”. Znana pisarka amerykańska żydowskiego pochodzenia, Cynthia Ozick, interesująca dla polskiego czytelnika ze względu na jej powieść Mesjasz ze Sztokholmu opartą na motywach biografii Brunona Schulza, dopatrywała się w podobnych wypowiedziach Glatzstejna zawiści zawodowej i ujęła ów antagonizm w sposób satyryczny w opowiadaniu Zawiść, czyli jidysz w Ameryce. Postawa Glatzstejna nie była jednak wyjątkiem, wielu krytyków i historyków literatury jidysz twierdziło, że Bashevis jest

dużo gorszym pisarzem od swego starszego brata Izraela Joszui i że to ten ostatni powinien być dostać Nagrodę Nobla. W przypadku Glatstejna krytyczna postawa wobec Bashevisa była chyba związana nie tyle z zawiścią, co silnym poczuciem misji wobec własnego narodu, na którym dokonano strasznego zniszczenia. **Jakob Glatstejn** (1896-1971) pochodził z oświeconej, słynnej z talentów muzycznych rodziny. Jego wuj był kantorem w lubelskiej bożnicy miejskiej. W 1914 roku Glatstejn wyjechał z Lublina do Nowego Jorku, gdzie w 1918 roku podjął studia prawnicze. Porzucił je jednak szybko, aby poświęcić się pracy dziennikarskiej, krytyce literackiej i twórczości poetyckiej. Regularnie współpracował z pismami nowojorskimi wydawanymi w jidysz, „Morgen-Żurnal” i „Jidyszer Kemfer”.

Początkowo Ameryka stanowiła dla niego szok, pociągając za sobą okresową niemoc twórczą. Próbował pisać po angielsku, ale szybko zaniechał takich prób. W 1920 roku założył grupę poetycką „In zich” czyli „W sobie”, która skupiła poetów określanych mianem introspektywistów. Nic więc dziwnego, że jego pierwszy zbiorek poezji nosił autobiograficzny tytuł *Jakub Glatstejn* (1921) i był całkowicie osobisty w wymowie; pochodzenie i historia nie odgrywała wtedy jeszcze dla niego jako artysty żadnego znaczenia. Kolejne zbiory to nowojorskie *Wolne rymy* (1926) i *Credo* (1929) oraz wydany w Warszawie w 1937 roku *Jidysz tajtszen* o nieprzetłumaczalnym tytule i równie trudnej do przełożenia zawartości.

Zbiorami tymi zaskarbił sobie miano innowatora języka jidysz. Jego poezję cechują surrealistyczne zestawienia irracjonalnych obrazów, wiersz naśladowujący rytm języka mówionego, niezwykle zróżnicowane słownictwo, eksperymenty słowne i gramatyczne. Do Lublina wrócił tylko raz, dwadzieścia lat później, aby zobaczyć umierającą na raka matkę. Reminiscencje z pobytu w Europie i w Polsce zawarł w powieściach autobiograficznych: *Wen Jasz iz geforn* i *Wen Jasz iz gekumln* (*Gdy Jaś pojechał* i *Gdy Jaś powrócił*, 1935). Nie znajdziemy w nich szczegółowych opisów miasta, ale są tam fragmenty wspominające o dzielnicy żydowskiej i górującym nad nią zamku-więzieniu, o spacerach do Ogrodu Saskiego, o polskich gazetach, zwłaszcza tych nastawionych wrogo do Żydów. Związki z Lublinem podkreślił najmocniej pod koniec życia w tytule zbioru z 1966 roku *-Żyd z Lublina*.

Podobnie jak Singer Glatstejn pisał w jidysz mimo że większość życia spędził w Ameryce. Uważał, że poeta może tworzyć tylko w ojczystym języku. Jidysz, który początkowo był dla niego przede wszystkim tworzywem artystycznym, źródłem i przedmiotem eksperymentów leksykalnych i stylistycznych, przerodził się stopniowo w metaforę jego dzieciństwa w Lublinie, żydowskiego dziedzictwa kulturowego. Po drugiej wojnie, kiedy miliony czytelników, a także wielu pisarzy tworzących w jidysz zginęło, język stał się dla poety uosobieniem wymierającego narodu. W 1938 roku napisał swój najbardziej chyba znany wiersz *Dobranoc, świecie*, który z późniejszej perspektywy należy uznać za proroczy. Po wojnie staje się poetą oplakującym zniszczenie swego narodu, jego utwory są odpowiedzią na największą katastrofę w dziejach Żydów. Nie należy jednak sądzić, że to dopiero Zagłada uczyniła z Glatstejna wielkiego artystę. To raczej odwrotnie, poeta wielkiej miary napotkał na temat, któremu miał się poświęcić. Począwszy od końca lat trzydziestych jego poezja dotyczy głównie historii narodu żydowskiego, utraconego świata aszkenazyjskich Żydów, powstania państwa Izrael, asymilacji w Ameryce, powolnej śmierci języka jidysz i samotności poety. O tematyce tej świadczą same tytuły, tak różne od tytułów wcześniejszych zbiorów poezji: *Wiersze upamiętniające* (1943), *Promieniejący Żydzi* (1953), *Cień ojca* (1953).

Glatsztejn jest, niestety, zupełnie nieznanym polskiemu czytelnikowi. W antologii poezji żydowskiej pod redakcją Arnolda Słuckiego i Salomona Łastika, która ukazała się w 1981 roku po kilkunastoletnim „odleżeniu” ze względu na cenzurę, znajdziemy jedynie kilka wierszy i to nie tych najciekawszych (najciekawszych wyborze również decydowały zapewne względy cenzuralne). Kilka utworów Glatsztejna ukazało się w latach osiemdziesiątych w polskich czasopiśmie literackich. Niestety, Glatsztejn nie znalazł na razie swojego tłumacza, który by przyswoił jego utwory w języku polskim. Ze względu na różne eksperymenty słowne nie jest to na pewno twórczość łatwo poddająca się przekładowi, ale język polski otwiera możliwości, jakich nie stwarza język angielski, na który najczęściej i z różnym powodzeniem tłumaczono utwory Glatsztejna.

W jego wczesnej poezji pojawiają się wprawdzie obrazy Lublina i miasteczek Lubelszczyzny, ale poeta traktuje je z pewnym dystansem, są to przede wszystkim obrazy przeszłości, która teraz nie ma specjalnego znaczenia, tak jak w wierszu Żydowskie królestwa z 1929 roku:

*Końskowola, Modliborzyce, Kozienice,
Lubartów, Piaski, Szczepieszyn.
Nazwy miast w Polsce, jednak diabeł wie czemu
pływają w pamięci niczym suche liście.
Kiedy byłem małym berbeciem
Wiedziałem, że podróż w te strony
Pachnie bryczką, furmanką, skrzypiącym wozem,
którym jadą ciepłe panny służące na służbę.
Wszystkie te miasteczka były dla mnie jak żydowskie królestwa,
Gdzie Jom Kipur wypełnia strachem
Nawet chałupy gojów,
W których wiszą krzyże
By strzec ich przed żydowskim bogiem.*

*Oddałbym całe majątki biedy
Gdybym mógł wciąż za nimi tęsknić.
(przeł. Monika Adamczyk-Garbowska)*

Znając datę powstania utworu odczytamy ten wiersz jako stopniowe odchodzenie poety od jego wschodnioeuropejskich korzeni. Nie obarczeni jednak tą wiedzą, a świadomi tragedii jaka spotkała naród żydowski możemy zrozumieć go zupełnie inaczej, jako pełne gorczy wyznanie o niemożności tęsknoty. Trudno bowiem za nimi tęsknić, skoro tych miasteczek już nie ma, mimo że dalej istnieją na mapie. Nie ma jednak bożnicy, domu nauki, mykwy, a przede wszystkim ludzi nadających charakter tym miejscom. Wszystko obróciło się w popiół, niczym w tym przełożonym przez Stanisława Wygodzkiego wierszu Już prawie:

*Już zatraciliśmy prawie wszystkie słowa
i wnet zamilkną bełkoczące usta.
Skąd nam czerpać, gdy dziedzictwo puste,
skąd porywy święte zjawia się od nowa
ku radości? Grymas dziecka*

*mowie obcej podobny,
a słowa - błyski zdradzieckie -
gasną w blasku żałobnym.
A ich treść popiołem,
a ich treść popiołem.*

** * **

Może lektura powieści i opowiadań Isaaca Bashevisa Singera oraz poezji Jakuba Glatsztejna skłoni nas do spojrzenia na stare dzielnice Lublina inaczej niż zwykle. Lubartowska, Stare Miasto, Podzamcze, stara Kalinowszczyzna - przed czasem Zagłady te części Lublina zamieszkałe były w większości przez ludność żydowską. Wędrówka nimi ze świadomością, w jaki sposób uległy unicestwieniu musi być bolesna. Dziwne symbole narzucają się same, kiedy dowiadujemy się, że imieniem Singera nazwano w Lublinie plac, właściwie bez adresu, bowiem nie znajdują się tam żadne domy, a dawniej stał jedynie pomnik Bieruta. W dodatku wkrótce po ustawieniu tabliczki ktoś ją zamazał z niewiadomych powodów. Dobrze by się więc stało gdyby oprócz wyrażanej przy różnych uroczystych okazjach nostalgii pisarze żydowscy zaistnieli w jakiś sposób w pamięci i świadomości miasta i regionu, które wycisnęły tak wyraźne piętno na ich twórczości, a do których fizyczny ich powrót był niemożliwy.

W zbiorach Muzeum Lubelskiego znajdują się prace 17 malarzy żydowskich. Dużą część tego zbioru prezentuje otwarta 15 grudnia 1994 r. w salach wystawowych Zamku Lubelskiego okolicznościowa wystawa towarzysząca sesji naukowej pt. „Żydzi lubelscy”.

Tematem mojego referatu jest twórczość trzech artystów pochodzenia żydowskiego, urodzonych i związanych z Lublinem: Symchy Trachtera, Henryka Lewensztadta i Yehudy Razgoura, których działalność artystyczna znana była i doceniana nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Literatura dotycząca dorobku tych artystów jest niezbyt bogata, natomiast duży snop światła na ich życie i działalność rzuciła nieznaną dotąd korespondencja wyżej wymienionych twórców prowadzona z lubelskim grafikiem i regionalistą Wiktorem Ziółkowskim (1893-1978). Spuścizna po Wiktorze Ziółkowskim w zakresie dzieł sztuki trafiła do Muzeum Lubelskiego, natomiast spuścizna literacka znalazła się w Zbiorach Specjalnych Biblioteki Łopacińskiego w Lublinie. W przeważającej mierze referat niniejszy opiera się na wyżej wspomnianej korespondencji, z której wiele cytatów przytaczam w tekście. Uważam, że wypowiedzi samych artystów najpełniej oddadzą ich osobowość i scharakteryzują ich dzieła i gusta artystyczne. W wielu wypadkach listy te stanowią autentyczne dzieła literackie.

Przechodząc do przedstawienia poszczególnych sylwetek twórców zacznę od S. Trachtera, którego twórczość jest najbogaciej reprezentowana w Muzeum Lubelskim.

Symcha Binem Trachter (podpisywał się Simon) – ur. w 1893 r. w Lublinie, zginął w 1942 w Treblince. Pochodził z zamożnej rodziny mieszczańskiej, jego ojciec – Szymon, właściciel kilku kamienic lubelskich, prowadził hurtową sprzedaż wyrobów żyrardowskich manufaktur i półwełnianych towarów fabryki R. Kindlera.

Trachter od wczesnego dzieciństwa przejawia zainteresowania malarskie, których niestety nie akceptowali do końca rodzice. W 1911 r. wyjeżdża do Warszawy i podejmuje naukę w szkole Sztuk Pięknych w pracowni Lentza. W latach 1915-1920 studiuje malarstwo w krakowskiej ASP, początkowo u J. Malczewskiego, później od 1917 r. u S. Dębickiego. Jego profesorami byli też T. Axentowicz i S. Kamocki, z którym często wyjeżdża na plenery malarskie. Naukę w Krakowie przerywa na krótko w 1918 r. Wtedy wyjeżdża na pół roku do Wiednia, gdzie uczęszcza na zajęcia tamtejszej Akademii Sztuki. Przywozi stamtąd dobre, ale jeszcze mocno akademickie rysunki suchą kredką i węglem. Uczelnia krakowska i jej wykładowcy, czołowi reprezentanci Młodej Polski, dają Trachterowi solidne przygotowanie artystyczne. On sam należy bez wątplenia do pilnych studentów. Jako początkujący artysta posługuje się środkami formalnymi bliskimi realizmowi, zaczerpniętymi być może ze sztuki swych profesorów, których niejednokrotnie podziwiał. Świadczą o tym fragmenty listu pisanego 26.01.1920 r. w Krakowie:

[...] z rana mam akt, a po południu idę na pejzaż i pracuję aż do zmroku, o ile pogoda na to pozwala. W tych dniach udało mi się sprzedać trzy pierwsze moje pejzaże z 15 marek [...] podobają mi się bardzo dobrze pod względem rysunku, przecież wiadomo, że należy [dotyczy Wyczółkowskiego – przyp. R. B.] do pierwszorzędných rysowników w Polsce, którzy tak dobrze odczuwają architekturę starych domów, ruin, drzew [...]

Po ukończeniu studiów krakowskich wraca do Lublina. Stara się o pozwolenie z magistratu na urządzenie pracowni w domu rodzinnym na ulicy Zamojskiej. Dużo maluje i jest popularny w środowisku lubelskim, dlatego już w tym okresie znajduje nabywców na większość swoich prac.

W 1925 r. wyjeżdża do Paryża i pozostaje tam przez 4 lata. Studiuje malarstwo w prywatnej Académie Ranson, jego profesorem jest Roger Bissière (1888-1964) – znany nowoczesny malarz i dobry pedagog. Trachter jest zachwycony pobytem w Paryżu. W listach z 1925 roku donosi:

[...] Paryż jest cudny, pracuję z powodzeniem, co dwa dni jestem w Luwrze [...] cieszę się powodzeniem u profesorów i u kolegów [...] mieszkam bardzo daleko od Akademii, codziennie jadę metrem, prawie ½ godz. Mieszkam niedaleko Montmartru, na V piętrze, mam bardzo ładny pokój [...]

W Paryżu młody przybysz z Lublina poznaje nie tylko wspaniałe malarstwo europejskie zgromadzone w Luwrze, ale również twórczość impresjonistów, Cézanne'a, Picassa. Interesujące są spostrzeżenia Trachtera na temat sztuki i artystów francuskich. W liście z 22.07.1927 r. pisze:

[...] Cézanne'a uważam za największego malarza naszego wieku, to jest malarz, który świetnie maluje światło, słońce, wodę, powietrze, namiętny kolorysta, rysunek znakomity. Jednak przeciwnicy mówią, że nie umiał rysować, to oni się mylą, on musiał tak rysować, to pasowało do jego rytmu, za najlepsze obrazy uważam jego martwe natury, skończone dzieła [...] Van Gogh, Gauguin – nie uważam wcale za malarzy, owszem to są piękne dywany – ale nie obrazy w plastycznym pojęciu. Dywan i obraz plastyczny to są dwie odrębne rzeczy. Powiadają to są kolorysty, jacy to kolorysty, dlatego że malowali wprost z tuby, nie mieszając na palecie, to oni są kolorystami? – dzieci to samo umieją, tylko z tą różnicą, że oni mieli specyficzny smak zestawiania kolorów – gdzie u nich słońce, powietrze, światło? To jest sztuka stosowana, dywan, olej [...] Prawdziwy artysta to jest ten, który umie mieszać farby na palecie. Każdy wielki artysta ma swój własny kolor, po kolorze można poznać duszę artysty. Picassa nie cierpię, widziałem kilka jego prac – idiota skończony. Uważam go za dobrego rysownika [...] Derin [właśc. André Derain, 1880-1954] mi się obecnie najlepiej podoba. Widziałem przedwczoraj jego kilka obrazów, bardzo ładne, także podobały mi się jego rysunki [...] Niedawno mieliśmy narodowe święto, cały Paryż tańczył na ulicach. Cudownie to wyglądało. Na całym świecie nie lubią tyle tańczyć co Francuzi [...] Mówią, że zrobiłem dużo postępów, może, czuję sam, że jestem silniejszy niż będąc w domu. Żałuję tylko, że straciłem 6 lat najpiękniejszych. Zaczynam szukać swej własnej drogi. Czuję to, co ja chcę zrobić [...] Pan wie, na co ja zwracam uwagę w Luwrze? Na obraz Mona Lisa Leonarda da Vinci. Chciałbym coś podobnego zrobić á la moderna, dążę do formy klasycznej. Po salonach straszne nudy. Mam wrażenie, że obecnie jest upadek sztuki – a co będzie dalej niewiadomo [...]

Latem 1927 roku wyjeżdża na 4 tygodnie do Fontainebleau. Po powrocie do Paryża przygotowuje kilka prac olejnych i trochę rysunków, które zamierza przesłać do Lublina. Jego przyjaciele – W. Ziółkowski i H. Lewensztadt – chcą zorganizować mu wystawę, chociaż sam Trachter wzbrania się przed pokazaniem swych nowych prac.

22.12.1927 r. pisze:[...] ja dłuży czas ze sobą walczyłem, czy urządzić teraz wystawę, czy nie. Czuję, że w przyszłości potrafię lepsze rzeczy namalować. Ale trzeba się liczyć z materialną stroną w życiu, dlatego postanowiłem, że wystawa, którą chcecie urządzić, może mi przynieść w przyszłości duże korzyści [...]

W tym czasie Trachter odwiedza często przebywających w Paryżu Eibischów, poznaje Leopolda Gottlieba, z którym wybiera się na południe Francji. We wcześniej cytowanym liście pisze też: [...] mam zamiar siedzieć na południu 4-5 miesięcy i pracować od rana do wieczora, pejzaże i martwe natury, z nadzieją, że później może mi się uda sprzedać w Polsce i w Paryżu, może wystawę urządzę... Dużo malarzy wyjeżdża do Marsylii, Cannes i Nice. Cudowny kraj dla malarzy. Teraz w Paryżu b. ciemno i zimno. Wprost nie możliwe malować, zwłaszcza dla mniej, który ma pokój dosyć ciemny i w takie dni pochmurne wprost niemożliwe coś zrobić [...]

Z końcem lutego 1928 r. jest już razem z Eibischami w Saint Paul, małym miasteczku nad morzem w pobliżu Nicei i Cannes.

W ostatnim roku pobytu w Paryżu zmienia się gust artystyczny Trachtera, jest olśniony zupełnie innym malarstwem. Być może wpłynęła na to znajomość z Tadeuszem Makowskim, którego często odwiedza w pracowni i u którego poznał też Tytusa Czyżewskiego. W liście z 15.01.1929 r. pisze: [...] Czy słyszał pan o malarzu Dufren? [właśc. Charles Dufresne, 1876-1938] Świetny malarz, szalenie go lubię, również Soutine'a cenię ogromnie. Tych dwóch najwięcej kocham [...]

Do Polski wraca w czerwcu 1929 r. Postanawia już na stałe pozostać w rodzinnym mieście. Otwiera pracownię malarską przy ul. Lubartowskiej 382/3, w domu rodziców. W 1936 r. lub 1938 ożenił się z Hadesą Wajs i zamieszkał przy Krakowskim Przedmieściu 59. Na ten rok przed wybuchem II wojny światowej przeniósł się z żoną do Warszawy. W okresie okupacji przebywa w getcie warszawskim. Również i wtedy prowadzi działalność artystyczną, m. in. wykonuje dla reprezentacyjnej sali Gminy Żydowskiej wspólnie z Feliksem Frydmanem dużą scenę z przedstawieniem Hioba. Innych prac z okresu okupacji nie znamy, prawdopodobnie się nie zachowały, natomiast być może do tej pory zachowały się liczne prace Trachtera, zamurowane przed wybuchem wojny przez samego artystę w jednym z domów rodziców - informację taką przekazał W. Ziółkowski. W czasie wysiedlania z getta warszawskiego, w nadziei, że Arbeitsausweis uchroni go przed wysiedlaniem, został członkiem utworzonej przy ul. Mylnej 9a Spółdzielni Artystów, wyrabiającej osetki i proszek do czyszczenia metalu. Jednak w nocy z 26 na 27.08.1942 r. wraz z innymi artystami - spółdzielcami został wywieziony do Treblinki, skąd już nie wrócił.

Żyje jeszcze szwagierka artysty, która w 1935 wyjechała do Izraela (w jej posiadaniu znajduje się jedno płótno Trachtera). Kuzynem artysty jest też pan Symcha Wajs, który w swoich zbiorach posiada 2 obrazy Trachtera.

Symcha Trachter po powrocie z Paryża bierze czynny udział w polskim życiu artystycznym. Wystawia stale na dorocznych salonach Instytutu Propagandy Sztuki (m. in. 1930/31, 1932, 1937/38, 1938). Wspólnie z Filipiakiem, Karmańskim, Kononowiczem, Michalakiem reprezentuje Lublin na salonach wystawowych nie tylko w Warszawie, ale również w innych miastach, m. in. w Krakowie i Łodzi. Uczestniczy też w wystawach Sztuk Plastycznych organizowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza (m. in. 1932, 1933, 1934). Duża indywidualna wystawa artysty odbyła się

w 1930 r. w Żydowskim Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych w Warszawie. Pokazano tam 35 prac: pejzaży, martwej natury, portretów i aktów.

Symcha Trachter był członkiem stołecznego Związku Plastyków, Żydowskiego Towarzystwa Krzewienia Sztuk Pięknych i od 1932 r. – Towarzystwa Przyjaciół Tadeusza Makowskiego w Paryżu.

Muzeum Lubelskie posiada 26 prac artysty, w tym 7 obrazów olejnych, 3 akwarele, 2 rysunki węglem, 6 rysunków kredką, 1 rysunek sangwiną, 1 rysunek sepią, 3 rysunki tuszem i 2 rysunki ołówkiem.

Trachter jest przykładem twórcy, którego osobowość artystyczna dojrzała powoli, ale konsekwentnie. Pierwsze prace, rysowane głównie węglem, utrzymane niekiedy w stylu Lembacha, noszą jeszcze cechy wyraźnie akademickie. Później sztuka jego nabiera cech dojrzałości. Widać to w rysunkach przedstawiających architekturę Starego Lublina. Sylwetkę artystyczną Trachtera ukształtował ostatecznie Paryż. Sztukę francuską poznał wnikliwie, nie przejmując jej wpływów w sposób powierzchowny. Dla niego równie ważna jak kolor była forma obrazu. Obraz buduje jako pewną całość konstrukcyjną, gdzie jest doskonała współharmonia formy i koloru. Jego płótna wyróżniają się dobrym rzemiosłem artystycznym, interesującą fakturą, przemyślanym kolorytem i przede wszystkim mocną formą. Jest świetnym rysownikiem. Precyzyjny, mocny rysunek widać nie tylko w cyklu prac poświęconych architekturze lubelskiej, ale również w późniejszych aktach paryskich. Jest autorem licznych pejzaży i martwych natur, często inspirowanych sztuką Cézanne'a. Trachter, jeden z wielu przedstawicieli École de Paris, jest wytrawnym postimpresjonistą. Szkoda, że z całej obfitej twórczości tego świetnego kolorysty zachowało się niewiele prac. **Henryk (Hersz) Lewensztadt** – ur. 20 września 1893 r. w Lublinie. W 1911 rozpoczyna naukę w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych w pracowni Lentza. Swą edukację artystyczną uzupełnia później w Monachium. W listopadzie 1919 r. jeszcze jako student żeni się z młodszą od siebie o 5 lat Bajlą Niemiec, mieszkanką Działoszyc, woj. kieleckie. Po studiach wraca do Lublina i wkrótce osiąga tu jako twórca pejzaży dużą popularność. Najchętniej maluje jednak w Kazimierzu, gdzie każdego roku latem spotyka się z całą bohemą artystyczną tego malowniczego miasteczka. Już w tym okresie jest artystą znanym, jego prace oceniali i najczęściej chwalili m. in. M. Sterling, W. Skoczylas, S. Noakowski. Jako młody twórca bierze udział w licznych wystawach zbiorowych, m. in. w 1928 r. w Salonie Jesiennym w Paryżu. W tym okresie ma też kilka wystaw indywidualnych, m. in. w 1927 w Związku Artystów Malarzy w Warszawie (pokazuje tam krajobrazy lubelskie i kazimierskie), w 1929 r. prezentuje swoje prace w Związku Plastyków w Warszawie (obok grupy „Kolor”, której członkiniami są uczennice Pruszkowskiego). Wreszcie w 1930 r. ma dużą wystawę w Salonie Sztuki Czesława Garlińskiego w Warszawie, na której pokazuje 24 obrazy (15 pejzaży i 9 martwych natur). W tym samym roku tuż przed wyjazdem za granicę, zapoznaje koneserów sztuki ze swą teką Stary Lublin, którą uznano za wielkie osiągnięcie artystyczne Lewensztadta.

W 1930 postanawia odbyć długą podróż artystyczną, która zapewniaby mu wszechstronne poznanie sztuki europejskiej i zgłębienie wiedzy malarskiej. Celem podróży jest Paryż, jednak po drodze zatrzymuje się w Wiedniu, Wenecji, Genui, Mediolanie. W podróż wyruszył w sierpniu z Natanem Szpiglem. Jest zachwycony włoskimi kolekcjami muzealnymi i współczesnymi wystawami. 28.08.1930 pisze z Wenecji:

[...] wszystko jest tak cudowne jak w bajce. Byłem w Biennale, oglądałem wszystkie

pawilony, a jest ich dość dużo. Modigliani jest zaprezentowany 40 pracami [...]. Na razie jestem zupełnie oszołomiony. Zdążyłem zrobić 5 rysunków [...]

Na dłużej zatrzymał się w Cagnes, gdzie dużo maluje. Jest zadowolony z pobytu w tym malowniczym miasteczku - tym bardziej, że sprzedał tu kolekcjonerom francuskim i angielskim wiele prac na sumę 5000 fr. Do Paryża przybywa dopiero w lutym 1931 r. Jest zachwycony atmosferą artystycznej stolicy świata, jej muzeami, galeriami, artystami. W liście z 11.02.1931 r. pisze:

[...] zostałem wrzucony do wielkiego bez przerwy szumiącego kotła paryskiego. Paryż wywarł na mnie potężne wrażenie i z miejsca zostałem porwany tym niesamowitym życiem. Zna Pan przecież mój nieokiełznany temperament. Chciałem od razu wszystko zobaczyć i wszędzie być. Pędziłem jak szalony w podziemiach Mertopolitanu zwiedzając potężne muzea i galerie. Dnie są mi jeszcze w dalszym ciągu za krótkie, a wieczorem po takiej to całodziennej gonitwie, a w dodatku, jeżeli się kolacja nakrapia winkiem, to człowiek pada i zasypia twardym snem.

Jest zadowolony z pobytu w Paryżu - tym bardziej, że prace jego są zauważane przez miejscową krytykę. W cytowanym wcześniej liście pisze też:

[...] Widział moje prace popularny krytyk Gustaw Kahn, praca bardzo mu się spodobała, zaprosił mnie do wzięcia udziału w wystawie, która zostanie otwarta w marcu. Złożył mi również wizytę pewien krytyk, oglądając pracę moją i album Lublina wypowiedział się następująco, że bezsprzecznie jestem malarzem utalentowanym w pełnym znaczeniu tego słowa. Co do albumu Lublina powiedział, że zna dwóch malarzy polskich, którzy świetnie czują architekturę - to Wyczółkowski i Lewensztadt. Prosił mnie, abym z nim złożył wizytę Szagalowi i pokazał album Lublina. Wiem, że te wiadomości Pana zainteresują i ucieszą. Pozatem urządziłem się względnie dobrze, dostałem bardzo dobry pokój, który mi służy jednocześnie za pracownię. Architektura Paryża jest ogromnie ciekawa, a szczególnie stara dzielnica. Czekam z niecierpliwością na cieplejsze dni wiosenne, ażeby móc zacząć pracować na powietrzu. Co za przepiękna patyna murów i co za koloryt. Obrazy Utrylla uważam są żywcem kopiami istniejącego Paryża. Z współczesnych malarzy uważam, że Vlaming to naprawdę wielki majster formy, kompozycji i koloru, jest to malarz pełną gębą, niektóre jego pejzaże i martwe natury są tak silne, że człowiek formalnie głupieje. Sutina widziałem zaledwie parę prac, które nie wywarły na mnie oczekiwanego wrażenia [...] w Luwrze są takie bogactwa, że nie wiem od czego zacząć, oglądając systematycznie można się bardzo wiele nauczyć. Cudowna jest przy Luwrze kolekcja Caillebotte, gdzie są zebrani impresjoniści. Najsilniejsze jednak wrażenie na mnie zrobił Pissarro, o którym nie miałem żadnego pojęcia. Pragnę teraz zobaczyć Henri Russa, którego na razie nigdzie zobaczyć nie można [...]

Po około półrocznym pobycie w Paryżu, wraca w lipcu na południe Francji. Zatrzymuje się tu na dłużej, początkowo w Cagnes, później w 1932 r. w Nicei. Tu bardzo dużo pracuje, uczestniczy w wystawach m. in. w maju 1932 r. w Wystawie Sztuki Polskiej w Nicei, później wystawia w Cannes. Pobyt we Francji jest dla Lewensztadta udany: poznał dobrze malarstwo europejskie, to z odległych epok, które na pewno dało mu nowe spojrzenie na sztukę oraz sztukę współczesną i wielu jej wybitnych przedstawicieli. Osobiście poznał szereg interesujących artystów, m. in.

Matisse'a, u którego bywał w pracowni.

Prawdopodobnie pod koniec 1933 roku artysta wraca do kraju. Wydaje się, że powodem tej decyzji jest jakiś kryzys rodzinny. Osiada już nie w rodzinnym Lublinie, tylko w Zakopanem. Mieszka w Willi Arka, a później do 1939 r. przy ul. Witkiewicza 18. W Zakopanem powstają m. in. cenne rysunki artysty, które oglądał W. Filipiak, wyrażając się o nich wprost entuzjastycznie. W marcu 1939 artysta planuje zorganizowanie wystawy. Trudno powiedzieć, czy została ona zrealizowana i w jakiej miejscowości.

W sierpniu 1939 r. państwo Lewensztadtowie są jeszcze w kraju, ale pani Bela, żona artysty, zaniepokojona sytuacją polityczną w Europie decyduje się na wyjazd z Polski. W czasie II wojny światowej przebywają na terenie Związku Radzieckiego. Do Polski wracają na krótko, w maju 1946 r. i zamieszkują w Dąbrowie Górniczej, u kuzyna pani Beli. W listach z czerwca 1946 Henryk pisze o sobie, o swojej samotności po przeżytych koszmarze wojny:

[...] wędrowaliśmy po Bożym świecie. Czternaście miesięcy byliśmy w tajgach mroźnej Syberii i pięć lat w skwarnej, egzotycznej kolorowej Bucharze [...] Zastraszająco mało znajomych ludzi pozostało, a jeszcze mniej przyjaciół [...]

[...] każdy otrzymany list sprawia mi ulgę i zadowolenie. W tym to obcym dla mnie mieście błędzę, jak cień po ulicach. Ja nikomu ani nikt mnie się nie kłania ani uśmiecha. Radują mnie tylko te czerwone domy fabryczne, które się doskonale komponują z tą intensywną zielenią szmaragdową na tym pejzażu, za którym tyleż tęskniłem. Ciężko, bardzo ciężko, lecz mam nadzieję, że się przyzwyciężę i zabiorę się wkrótce do malowania. Przyznam się drogi Przyjacielu, że siedem lat nie malowałem [...] siedem długich lat, a każdy przeżyty dzień na dalekiej obczyźnie wydawał mi się wiekiem. Nostalgia za krajem i nurtująca tęsknota przygniatała i szarpała niemiłosiernie duszę i ciało. Tkwiłem w bezwładzie apatii i lunatycznym śnie i stałe zapatrzony w daleki bezgraniczny horyzont. Nareszcie makabryczny letarg się skończył i pewnego dnia znalazłem się na wymarzonej i ukochanej ziemi. Nie mogę się nacieszyć i nasycić łagodnym i uśmiechającym się do mnie słońcem i tym muskującym wiatrem, który podnieca i budzi do nowego życia i pracy. Byłem przekonany, że nareszcie kres wędrowni i powrócę do ukochanych gór, albo na brzeg Wisły i rzucę się tym starym dobrze mi znanym przyjaciołom w ramiona i przytulę się znów do nich, jak za dawnych lat. Niestety szara, ołowiana, groźna chmura zasłania mi znów wyśniony różowy horyzont i syk złowieszczy, rozdziera mi duszę i zbolełe serce. Nadciąga znów ciemna, beznadziejna noc. Tak drogi Przyjacielu – tamci, którzy odeszli w mękach zostali skazani na śmierć, a my jesteśmy skazani na życie.

W połowie lipca 1946 H. Lewensztadt na podstawie przesłanych przez W. Ziółkowskiego zaświadczenia o działalności artystycznej, przedwojennych katalogów, metryki i odpisu aktu ślubnego zostaje przyjęty do Związku Plastyków – Oddział Katowice. Artysta prosi też swego wiernego przyjaciela z Lublina, aby będąc w Kazimierzu wstąpił do gospodarza Siwca na ulicy Lubelskiej, gdzie mieszkał lekarz Bauer. Pozostawił tam przed wyjazdem z Polski bagaże, m. in. tekę z 50-60 rysunkami. Artysta co prawda wątpi, czy rysunki przetrwały zawieruchę wojenną, ale gdyby odnalazły się to urządziłby wystawę w Katowicach. Lewensztadt pragnie malować, tworzyć na nowo, ale przeszłość rodzi w nim pewne zahamowania. W lipcu 1946 r. pisze:

[...] To lato w Dąbrowie jest dla mnie dziwnie piękne, łagodne i rozkoszne, tak jakbym nigdy lata nie przeżywał. A tu od razu znów obuchem w łeb i ręce znów opadają, apatia i obojętność. Świat staje się rysunkiem węglowym, czarno-biały i głęboką żalobą. Jak długo i czy to naprawdę w nieskończoność będzie się ciągnęła ta czarna nić cierpienia i smutku? Jest po ulewnym deszczu. Całą noc lało jak z cebra i napuchnięte krople deszczowe bezczelnie tłoczyły się i bębniły po szybach. Przysłuchiwałem się prawie całą noc. Jaki piękny jest rytm naszej letniej ulewy. W Bucharze nie było szyb, a deszcz był zupełnie inny. Te czerwone mury i ta masa strzelistych kominów, które się wrzynają w zakopcone niebo dąbrowskie, ciągną i manią. Myślę i mówię o tych pięknych kompozycjach, że mi się aż język strzępi. Wszystko mi się tu wydaje bardzo piękne i oryginalne. Niestety jak na razie ciemna beznadziejna noc, czekam na jasny, pogodny świat [...]

Wydaje się, że koszmar wojny przeradza się w obsesję artysty. Na wieść, że siostra Róża (zamieszkała w Łodzi), która przeszła gehennę w trzech różnych obozach spodziewa się dziecka, zareagował dosyć gwałtownie:

[...] Urodzi się świeży kandydat dla komór gazowych i makabrycznych pieców. Z całej mojej rodziny i rodziny mojej żony nie ma nikogo, zginęli wszyscy okropną tragiczną śmiercią; wszystko poszło dymem. Tu w Dąbrowie jest tyle, tyle kominów, jak wyciągnięte wskazujące palce i jakby mi groziły. Wali z nich bez przerwy dniem i nocą gęsty skłębiony ciemny dym. Dymy mnie zachwycają i przerażają. Przeraża mnie nawet często dym papierosa. Gdybym był malarzem o podłożu literackim namalowałbym cykl obrazów pod tytułem „Dymy”. Nie wykluczone, że się do tego tematu kiedyś zabiorę. Na razie jestem ciągle wytrącony z równowagi i ręce opadają [...] Czuję się doskonale fizycznie, kocham to niebo, miłe mi są te czerwone mury fabryczne, upajam się tą zielenią i stąпам po tej ziemi, jak po najmiększym kobiercu, lecz dusza rozpacza. Może Pan posiada jakieś lekarstwo na mój stan moralny. Mam wrażenie, że choroba jest nieuleczalna [...]

Wydaje się, że pewna bezsilność i absolutna beznadziejność opuszcza artystę po ujrzaniu starej kasety malarskiej, która przywołuje w jego pamięci dawne wspomnienia. Dziękując Ziółkowskiemu za przesłanie kasety artysta pisze:

[...] Królewska szkatuła nie mogłaby mnie tak olśnić i sprawić tyle radości i głębokiego wzruszenia, jak to skromne tekturowe pudełeczko, w którym mi Pan przesłał aż tyle prawdziwych i cennych klejnotów. Krwiste i czarne kredki i nawet węgiel prasowany. Ha co za radość i rozkosz! Patrząc na to, jak na starych i dawno nie widzianych przyjaciół, do których przez tyle lat tęskniłem. Oglądam i zachwycają się tym bogactwem, które mnie oszałamia i budzi wspomnienie minionych lat. Te pocziwe, dobrze mi znane kredki, tak, jakby się tuliły do moich palców [...] To stare pudło wybrudzone farbą olejną pamięta jeszcze starą pracownię S. P. Stanisława Lenca w Warszawie na ul. Hożej, była też przyjaciółką B. P. Kochanego Symchy, a dostałem ją w prezencie od mojego biednego ojca. Przeżyła wszystkich [...] złośliwość martwych rzeczy.

W sierpniu 1946 artysta wyjeżdża za granicę. Osiada w Izraelu. W liście z dnia 4.12.1956 r. donosi:

[...] Mieszkamy w Jaffie od 1 maja 1948 r. Miasto to należy do najstarszych w świecie i stąd właśnie wyruszył Jonasz i został jak Panu wiadomo połknięty przez wieloryba. Krótco po przyjeździe urządziłem wystawę w Muzeum w Tel-Awiiwie. Osiągnąłem powodzenie moralne i materialne. Od tego czasu nie wystawiam, za to maluję bardzo dużo, bo słońce nie skąpi nam radosnego światła i ciepła przez cały rok. Posiadam stopy prac. Czujemy się dobrze pod każdym względem. Żyjemy wyłącznie z malarstwa [...] Znajomi nasi przeważnie z Polski, natomiast z malarzy ani jednego, bo tych cośmy znali nie ma ich nigdzie [...]

Można przypuszczać, że w tym czasie szczytowy okres twórczości H. Lewensztadt ma już za sobą. Co prawda maluje dużo, ale ten obdarzony wielkim temperamentem człowiek i artysta jest już mniej aktywny w życiu artystycznym. W liście z 10.02.1957 roku pisze:

[...] Na przestrzeni ośmiu lat urządziłem jedną wystawę, o czym pisałem w poprzednim liście. Tak! Dziwny zbieg okoliczności zmusił mnie do urządzenia teraz właśnie wystawy, która się odbyła u przyjaciół w ich prywatnych mieszkaniach, w pięknie urządzonych salonach, nadających się pod wystawę, odbyła się w dwóch etapach, tj. 3 II i 26 I. Obrazy nie były oprawione ani porozwieszane. Prace były demonstrowane pojedynczo, w estetycznej ramie pokazowej. Goście wyłącznie za zaproszeniami siedzieli w skupieniu, jak na przedstawieniu.

Przed rokiem 1960 H. Lewensztadt po długim okresie nieobecności w kraju przyjeżdża do Polski. Trudno ustalić dokładną datę przyjazdu. Zatrzymuje się na dłużej prawdopodobnie w Warszawie, odwiedza też ukochany Kazimierz. W 1962 roku najpewniej przebywa w Tel-Awiiwie. Ze względu na brak danych o śmierci malarza, trudno ustalić kiedy i gdzie umarł, być może w Warszawie.

H. Lewensztadt należał przed wojną do twórców znanych i cenionych. Jego prace krytyka na ogół przyjmowała życzliwie, klienci chętnie kupowali.

Początkowo maluje głównie obrazy pastelowe, w których paleta barw jasnych nie zawsze harmonizowała z dość odważną, nowoczesną formą. Jego pierwsze znane prace, pejzaże kazimierskie i lubelskie albo pozostają w granicach realizmu, albo konstruowane są w sposób szalenie nowoczesny według indywidualnie pojętych reguł konstruktywizmu. W tych ostatnich architekturę i krajobraz rozbija na elementarne części w myśl pewnych ustalonych wcześniej reguł kompozycyjnych. Krytyka czasem sugerowała, że te przesłodzone pastelowe kolory nie zawsze współgrają z wprowadzonymi na powierzchnię obrazu krzywiznami wynikającymi z mody na deformację.

Rok 1930 przynosi zmianę w twórczości artysty. W tym czasie zaczyna malować obrazy olejne. Pozostając przy ekspresjonistycznym ujęciu formy wprowadza kolory mocne, ciężkie o głębokim tonie. Porzucając efektowne układy kolorystyczne zamienia swoje obrazy w poważne kompozycje malarskie. Ciekawa jest też faktura późniejszych krajobrazów i martwych natur. Nakładając drobne, żywe plamy barwne za pomocą szpachli uzyskuje interesujące efekty malarskie.

Wirtuozeria techniki u tego obdarzonego wielkim temperamentem malarza zauważalna jest zwłaszcza w rysunkach węglem i sangwiną. W technice tej wykonał rysunki wchodzące w skład teki Stary Lublin - 1930 r., która wywarła wielkie

wrażenie wśród krytyków sztuki, porównywano ją nawet z dziełami urbanistycznymi Utrilla.

Powojenna twórczość H. Lewensztadta jest nieznana, trudno zatem określić, w jakim kierunku rozwinęło się jego malarstwo.

Muzeum Lubelskie posiada 7 prac artysty, w tym 2 obrazy olejne, 3 pastele i 2 rysunki węglem, w tym jeden wykonany w połączeniu z kredką. Tematem prac jest pejzaż, jedna przedstawia Ukrzyżowanie. **Yehuda Razgour** (właśc. Idel Rosenblum). Ur. W 1914 r. w Lublinie zm. w 1979 r. w Paryżu. W Lublinie mieszka do czasu wyjazdu za granicę, tj. do roku 1933. W 1947 podejmuje studia artystyczne w Paryżu w l'Académie des Beaux - Arts, którą ukończył w 1951 r. Równocześnie uczęszcza do prywatnej l'Académie Andrée Lhote'a, jego nauczycielem jest również Fernand Léger. Przyjaźnił się z głośnym malarzem francuskim, Bernardem Buffet.

Od 1950 r. stale bierze udział w różnych pokazach publicznych, początkowo paryskich, później wystawia swoje prace również poza Paryżem i Francją, głównie w Polsce i Izraelu. Jest stałym uczestnikiem Salonu Jesiennego (m. in. 1954, 55, 56, 58, 62, 62), pokazuje swoje obrazy także na Salonie Niezależnych (m. in. 1958) i na wystawach morskich w Muzeum de la Marine (1956-1958).

W 1958 r. artysta po długiej nieobecności w kraju dwukrotnie przyjeżdża do Polski. Pierwsza wizyta - w marcu - jest rodzajem rekonesansu artystycznego i zaowocowała jeszcze niezbyt dużą ilością prac. Natomiast w czasie drugiego pobytu w kraju - znacznie już dłuższego, bo trwającego od sierpnia do października - powstaje wiele interesujących pejzaży z Kazimierza i Lublina. Wtedy też zorganizowano artyście wystawę w Kazimierzu, którą później pokazano również w Muzeum Lubelskim. Eksponowano 33 prace olejne, rysunki i gwasze. Oprócz pejzaży z Kazimierza i Lublina artysta pokazał też swoje wcześniejsze, pochodzące z lat 1953-58 prace francuskie, głównie widoki z południa Francji (z Arles, Farascon, Cagnas, St. Paul de Vence) oraz fragmenty Montmartre-u.

Pobyt w Kazimierzu działa na artystę wyraźnie inspirująco. Po powrocie do Paryża, swojego stałego miejsca pracy i zamieszkania, pisze Ziółkowskiemu: [...] rozłożyłem moje szkice, które zrobiłem w Polsce i konstatuję, że wcale dobrze pracowałem, one posłużą mi na długi czas jako źródło mojej pracy w atelier. Jestem jeszcze stale pod silnym wrażeniem pobytu w Polsce [...]

W tym samym roku w listopadzie artysta wyjeżdża do Izraela. Zaproszony na trzy miesiące, pobyt swój przedłuża prawie do roku, do Paryża wraca dopiero na początku października 1959 r. Mieszka w Hajfie. Zjednoczenie izraelskich malarzy i rzeźbiarzy zorganizowało mu trzy wystawy indywidualne w Jerozolimie, Tel-Awiiwie i Hajfie. Wszystkie zakończyły się wielkim sukcesem artysty i wspaniałymi opiniami krytyków. W liście z Hajfy z 3.04.1959 r. pisze: [...] jestem bardzo zmęczony, wystawy i malowanie bardzo mnie wyczerpały, ale też miałem dużo zadowolenia duchowego [...]

Lata 1960-1961 są okresem równie intensywnej pracy jak poprzednie. W tym czasie w malarstwie Rozgoura - jak to określa sam artysta - „pojawia się co nowego”, zmienia się też kolorystyka obrazów. W liście z Paryża 25.01.1960 donosi: [...] na razie bardzo dużo maluję, myślę, jak Pan zobaczy moje ostatnie obrazy to Pan powie, że można się wgłębić w sztukę (choć nie abstrakcyjne) i coraz coś nowego

tworzyć – żyć bez kłamstwa w sztuce, maluję całymi dniami, prawie nie wychodzę z atelier tylko pracuję [...]

Artysta w dalszym ciągu dużo podróżuje, szuka inspiracji nie tylko w Kazimierzu, dokąd przybywa znowu w maju 1960, ale również w Neapolu (zima 1960/1961), Prowansji, gdzie przebywa jesienią 1961 roku. W liście z St. Etienne du Gres z 2.09.1961 r. pisze:[...] ostatnio w Paryżu dużo malowałem i coś nowego w mojej twórczości. Już jestem 6 tygodni w Provence, w tych miasteczkach gdzie pracowali Cézanne, Gauguin, van Gogh. Pomimo tego jeszcze dużo nie zrobiłem, szukam coś innego w tym pejzażu, szukam Razgoura! Jeszcze go nie znalazłem, ale spotkam go już i zaczynam coś zrobić! [...]

Warto odnotować, że w tym czasie zorganizowano artyście w sierpniu 1960 r. drugą i zarazem już ostatnią wystawę w Lublinie (w CBWA), na której pokazano prace olejne, gwasze i rysunki.

Lata 1962-64 wypełniły artyście przygotowania do następnych wystaw. Razgour dalej intensywnie pracuje, wystawia często w różnych salonach, m. in. w maju 1963 ma własną wystawę w znanej Galerii Michel Dauberville w Paryżu. W liście z 24.12.1963 r. pisze:

[...] moje ostatnie prace, które są bardzo kolorowe. Kolor dominujący zielony. Na ogół dużo pracuję i ostatnio jest wielki rozwój w mojej pracy [...] poza tym zaczynam przygotowywać przyszłą wystawę w Paryżu i będę stale wystawiany w dwóch galeriach [...]

W tym czasie Razgour dużo podróżuje, odwiedza m. in. dwukrotnie Polskę (1962, 1964), Florencję (1962), Brukselę (1964).

Kolejne lata 1965-1967, równie twórcze dla artysty pokazują nowego Razgoura – malarza dojrzałego z charakterystycznym indywidualnym stylem. W tym czasie jest już nie tylko zauważony, ale i popularny w paryskim środowisku artystycznym. W 1965 r. informuje znajomych, że „[...] zaczynam być znany, a to ważne [...]”

W listach z sierpnia 1966 pisze: myślałem, że uda mi się być w Polsce w tym roku i pokazać moje ostatnie osiągnięcia w sztuce i swój własny styl! Robię dużo kompozycje i też payzaże, na ogół dużo pracuję [...] Ja dużo maluję i dochodzę do własnego stylu w sztuce, dużo wystawiam, dość często o mnie piszą [...]

Artysta w tym czasie istotnie często wystawia w różnych galeriach Paryża, w Nimes, Aix-en-Provence, a także w najlepszych galeriach Jerozolimy i Tel-Awiwu.

Mimo przebytej w 1967 operacji, Razgour nie przestaje intensywnie pracować. Teraz w jego twórczości najwięcej miejsca zajmują kompozycje figuralne. Nadal dużo wystawia. Zorganizowana w 1968 r. wystawa w Tel-Awiwie zakończyła się wielkim sukcesem, podobnie jak wystawy w Nimes w 1968 i 1969 r.

W Polsce Razgour jest znowu w 1973 r., we wrześniu uczestniczy w I Międzynarodowym Plenerze Malarskim w Kazimierzu Dolnym. Wiadomo, że w 1979 r. planował wystawę w Polsce, prawdopodobnie w Lublinie, ale w kwietniu odwołał przyjazd do kraju. Wcześniej, 5.02.1974 r. poważnie chory został umieszczony na oddziale kardiologii w szpitalu Lariboisiere w Paryżu. Zmarł 25.04.1979 w wieku 65 lat. Do tej pory pozostał w pamięci wielu mieszkańców Lublina. Wspominają tego mężczyznę niezbyt wysokiego, wysokiego okrągłej twarzy, w okularach,

przechadzającego się po Starym Mieście, rozmawiającego często z przypadkowymi przechodniami i szukającego tu wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości. Do Lublina i Kazimierza chętnie wracał, bo witano go tu szczególnie serdecznie, dlatego że był jednocześnie i lublinianinem i kimś, kto przyjeżdża z nowinkami artystycznymi ze światowej stolicy sztuki – Paryża. Tu wreszcie miał swoich przyjaciół: W. Ziółkowskiego, W. Filipiaka, E. Nadulskiego, K. Bielskiego, Z. Kononowicza.

Najchętniej odwiedzał Kazimierz, bo uważał to malownicze miasteczko za miejsce idealne dla artysty, zwłaszcza po zachodzie słońca i o 5. nad ranem, kiedy w powietrzu unosi się charakterystyczna mgiełka. Jej szarosrebrzysty ton wprowadza szczególny nastrój tajemniczości w płótna artysty, obdarzając je niepowtarzalnym kolorem i światłem. Czasami tylko narzekał na nadmiar drzew, ale być może ta właśnie obfitość zieleni w krajobrazie kazimierskim wpłynęła na zmianę kolorystyki jego obrazów. O ile wczesne pejzaże francuskie utrzymane są w gamie spokojnych stonowanych szarości, to późniejsze nadwiślańskie mają kolor znacznie bogatszy. Pojawiają się rozmaite odcienie zieleni – współgrające z ciepłą czerwienią dachów miasteczka, brązami i starym złotem. W malarstwie Razgoura widać nie tylko świetne wyczuwanie koloru, ale również duże umiejętności kompozycyjne. Jego nieco zgeometryzowane pejzaże budowane są za pomocą dosyć śmiałych rozwiązań perspektywicznych. Perspektywa spiętrzona pojawia się już we wczesnych pracach francuskich, w późniejszych wznosi się coraz bardziej ku górze. Sam artysta żartował, że „idzie w górę”, była to oczywiście aluzja nie tylko do cen obrazów, ale do sposobu malowania. Te malowane w sposób dość syntetyczny, przesycone światłem płótna uważane są za najlepsze jego prace. Są one przede wszystkim autentyczne, dlatego że Razgour pejzaż kazimierski widzi i odtwarza w sposób osobisty. Nie odwzorowuje natury wprost, ale wybiera z niej elementy potrzebne do budowy obrazów. To co najlepiej charakteryzuje malarstwo Razgoura, to indywidualny sposób patrzenia na otaczający go świat i dążenie do utrwalenia własnej wizji malarskiej. Mimo że czerpie inspiracje z natury, to i tak buduje obraz według własnych reguł pozostając zawsze w kręgu wyobraźni. To czyni go malarzem autentycznym i niezależnym, tym samym nowoczesnym. Analizując układ form i kolorystykę obrazów można spróbować umieścić go w kręgu École de Paris. Sam artysta uważał, że jego sztuka oscyluje między malarstwem abstrakcyjnym a figuralnym. Późniejsze – niestety w Polsce nieznane – prace tego wytrawnego pejzażysty wyraźnie ciążą ku neofiguracji.

Twórczość Razgoura jest głęboko nastrojowa. W tych lirycznych nieco poetyckich obrazach wyczuwa się jakąś tęsknotę, może do lat dzieciennych, do czegoś co jest nieobecne, ukryte. Stąd chyba na płótnach artysty pojawia się stale motyw wąskiej uliczki, być może zapamiętanej z dzieciństwa. Motyw ten przewija się w całej twórczości Razgoura, odnajdujemy go w obrazach z Montmartre’u, Prowansji i Kazimierza.

Razgour uprawia wszystkie techniki malarskie i grafikę, najchętniej jednak malarstwo olejne. Szeroki zakres tematyczny jego malarstwa obejmuje pejzaż, kompozycje figuralne, martwą naturę, portret i akt. Był malarzem utalentowanym i bardzo pracowitym, twórcą o własnym obliczu artystycznym, niesamowitej dyscyplinie wewnętrznej i świadomości malarskiej. Najlepiej określają go własne słowa (list z 19.08.1969 r.):

[...] Robię to co mogę i nie chcę za dużo wiedzieć, co inni fabrykują. Obecnie malarz

nie tworzy, fabrykuje i szuka zarobić pieniądze.

Muzeum Lubelskie ma w swoich zbiorach 21 prac artysty, w tym 6 obrazów olejnych, 1 gwasz, 9 rysunków kredkami kolorowymi, 3 rysunki flamastrem, 1 rysunek ołówkiem oraz 2 drzeworyty.

Artykuł niniejszy, oparty głównie na materiałach źródłowych dotąd niewykorzystanych, a zawierających bogate informacje, nie wyczerpuje w pełni zagadnienia. Ogranicza się tylko do przedstawienia sylwetek malarzy żydowskich związanych z Lublinem, pomijając tak ważnych artystów jak Roman Kramsztyk, Eugeniusz Zak, Jan Gotard, Natan Szpigel i wielu innych, których prace znajdują się w zbiorach Muzeum Lubelskiego. Temat jest bardzo obszerny, interesujący i wart wnikliwego opracowania. Autorka ma nadzieję, że przedstawiony tu referat zapoczątkuje dalsze poszukiwania, które doprowadzą do wypełnienia istotnej luki w obrazie przeszłości kulturalnej naszego miasta.

Przez przeszło 400 lat Lublin był miastem, gdzie zamieszkiwały ze sobą lub obok siebie dwie społeczności: polska i żydowska. Jak w innych polskich ośrodkach miejskich, np. Lwowie, Wilnie, Krakowie czy znacznie młodszej Łodzi społeczność żydowska wywierała znaczny wpływ na rozwój miasta, nadawała mu swoistego kolorytu, stanowiła liczący się odsetek mieszkańców.

Historycy przyjmują, że Żydzi pojawili się w Lublinie w drugiej połowie XV wieku, a w latach siedemdziesiątych tego stulecia mogła już istnieć gmina żydowska. Byłoby to osadnictwo i tak późniejsze aniżeli w przypadku innych miast. Przypomnijmy, iż już w końcu XI wieku na Dolnym Śląsku pojawiły się pierwsze grupy Żydów z Pragi czeskiej i Niemiec. W XIV wieku zamieszkiwali oni 35 dolnośląskich miast. W wieku XIII osiedli Żydzi w Wielkopolsce. Od XII wieku przybywali także od strony Rusi. Gdy w końcu XV wieku zamieszkują już w Lublinie (w nieznanej liczbie) jest ich już na terenie Korony i Litwy ok. 20 tys. W następnym stuleciu ich liczba na terenie państwa polskiego wzrasta do ok. 100 tys. czyli ok. 3,5 % ogółu mieszkańców.

Powstanie gminy żydowskiej wiązać można z osiedleniem się w Lublinie rabina Jakuba z Trydentu. Jego pojawienie spowodowało protesty katolickiego kleru. Zbyt mało mamy informacji o przyczynach konfliktu i jego konsekwencjach. Przypomnijmy tylko, iż już wówczas nie wszędzie współżycie obydwu społeczności (o ile nie-Żydów można uznać za społeczność jednorodną. Byłoby to duże uproszczenie ze względu chociażby na liczącą obecność Niemców wśród mieszczaństwa polskiego) układało się dobrze. W Poznaniu i Krakowie już wówczas dochodziło do pogromów i procesów o domniemaną profanację hostii.

W wieku XVI możemy już określić zakres terytorialny dzielnicy żydowskiej. Kształtowała się na północ i północny wschód od wzgórza zamkowego. Wynikało to z przyczyn pragmatycznych, chęci zamieszkiwania jak najbliżej miasta stanowiącego naturalne centrum handlowe. W samym mieście Żydzi zamieszkiwać nie mogli ograniczeni w tym względzie przywilejem *de non tolerandis Judaeis*, którzy uzyskali mieszczańskie lubelscy. W znacznej mierze chodziło o konkurencję w handlu. Swoją niezwykle dynamiczny rozwój w wieku XVI (który był „złotym wiekiem” Lublina) miast zawdzięczało swojemu położeniu na szlaku handlowym, a jarmarki lubelskie znane były szeroko poza Polską. Już w 1521 r. dochodzi do procesu przed sądem królewskim o naruszenie przez Żydów zakazu handlu detalicznego, uprawianie handlu towarami zastrzeżonymi (handel korzenny), stwarzanie miastu konkurencji w handlu zbożem. Prawdopodobnie proces ten zakończył się dla miasta sukcesem. Co więcej, w następnych latach otrzymali Żydzi lubelscy od króla szereg przywilejów polegających na ulgach celnych. Kolejny proces mieszczan lubelskich z Żydami w 1531 r. o zniesienie płaconego miastu podatku od „wyrobów manufakturowych”, miasto jednak wygrało. Z dążności do ograniczenia konkurencji żydowskiej i poddania tej społeczności kontroli miasta wynikały starania, uwieńczone w 1541 r. przywilejem królewskim, o poddanie Żydów sądownictwu miejskiemu. Dodajmy, że ograniczenia te nie były specyfiką lubelską. Dla XVI i XVII w. znamy dużą liczbę przykładów ograniczeń nakładanych przez miasta (lub na ich wniosek) na Żydów. Zdaniem historyka handlu żydowskiego, Ignacego Schipera Lublin w ograniczeniach tych był daleko poza innymi miastami. Fundamentalnym pytaniem jest, na ile życie weryfikowało wszelkie ograniczenia prawne? W przypadku Lublina *Privilegium de non tolerandis Judaeis* uniemożliwiało Żydom nie tylko zamieszkiwanie obrębie miasta, ale także wynajmowanie pomieszczeń na sklepy. W praktyce przez cały czas istniały od tej zasady odstępstwa. Dotyczyły one wprawdzie początkowo Żydów

najbogatszych, a nie biedoty i nie przybierały skali masowej, ale też świadczyły o tolerancyjnym podchodzeniu do ograniczeń. Wynajmowanie pomieszczeń Żydom przynosiło przecież właścicielom posesji niemałe dochody. Z czasem proceder ten przybrał znacznie większe rozmiary. Jak pisze w swej pracy Majer Bałaban:

Do miasta napływali żydowscy kupcy, którzy wynajmowali w zabudowaniach klasztornych i pałacach szlacheckich pomieszczenia na sklepy i mieszkania. Nawet bogatsi patrycjusze nie wstydzili się za duże pieniądze zapewniać w swoich domach schronienia Żydom lub wynajmować im magazyny, piwnice itp. Według wiarygodnych relacji jednego ze współczesnych (Micyński, Zwierciadło Korony Polskiej, Kraków 1618) stary rynek zastawiony został wkrótce żydowskimi straganami. Wokół Trybunału Koronnego [...] Żydzi lubelscy i obcy rozkładali swoje kramy. Z okolic Mostu i Bramy Żydowskiej przenieśli się tutaj maklerzy, oferujący wszelkiego rodzaju towary i prowadzący potencjalnych kupców do sklepów. Żydowscy rzemieślnicy, zwłaszcza krawcy i kuśnierze, szukali tutaj – pomimo protestów cechów i gildii – pracy i materiałów.

Tak cechy jak i gildie czyniły wszystko, by konkurencję żydowską wyeliminować, dochodziło do bójek, konfiskaty towarów, procesów sądowych, ale zawsze w Radzie Miejskiej znajdowali się patrycjusze wspierający starania Żydów o prawo handlu. Po ich stronie stawała często szlachta ciągnąca korzyści z żydowskiego handlu. Zawierano zatem tzw. Pacta cum Judaeis inita określające na kilka lat rozmiary akceptowanego handlu żydowskiego, odnawiane co jakiś czas, w zakresie coraz korzystniejszym dla Żydów. W okresie, gdy one nie obowiązywały dochodziło wprawdzie do utarczek i rabunków, ale niepokoje te stwarzały zarazem asumpt do odnowienia umowy. Nie wnikając w szczegóły motywów, którymi kierowała się Rada Miejska zawierając Pacta wbrew woli kupców i rzemieślników należy zauważyć, iż stwarzało to podłoże dla antyżydowskich zamieszek. Inicjowane przez czeladników i uczniów szkoły jezuickiej prowadziły czasami do zdarzeń tragicznych. W 1646 r. podczas zajść 8. Żydów straciło życie, 50 zostało rannych, splądrowano 20 domów.

Na ile ograniczenia handlu żydowskiego lub ich próby były skuteczne określają dane z 1530/1531 r., ilustrujące obrót towarów przewiezionych w tym czasie przez komorę lubelską na słynne jarmarki lubelskie. Z towarów importowanych ze wschodu Żydzi przywieźli w całości pieprz oraz większość innych przypraw: szafranu, goździków, muszkatu, a także ryżu. W sumie na 51,5 kamieni i 37 funtów towarów kolonialnych przywiezionych przez kupców żydowskich, kupcy rodzimi (nieżydowscy) przywieźli 21 kamieni tychże towarów. Tkanin przywieźli kupcy żydowscy trzy razy więcej aniżeli rodzimi, wołów 503 sztuki w stosunku do 310 pozostałych kupców.

Ta w miarę spokojna koegzystencja trwała tak długo jak miasto przeżywało okres prosperity, gdy towarów starczało dla wielu kupców, a pracy dla wielu rzemieślników. Wojny XVII wieku, zniszczenia spowodowane przez wojska kozackie, moskiewskie, szwedzkie, spowodowały, iż miasto splądrowane, spalone i w znacznej części zniszczone, zaledwie wegetowało. Nigdy już, aż do końca Rzeczypospolitej, nie odzyskało dawnej świetności.

Wraz z narastającym ubóstwem miasta odżyły dawne konflikty. Ze zdwojoną energią próbowano wprowadzać ograniczenia w odniesieniu do żydowskiego handlu i rzemiosła, szukając w nich drogi do poprawy sytuacji materialnej mieszczan. W 1679 r. na Sejmie w Grodnie król Jan III Sobieski uznaje szkodliwą działalność kupców żydowskich, zakazując im zarazem wszelkiego handlu w niedziele i święta (a nawet

pokazywania się wówczas w mieście). Unieważnił zarazem wszelkie Pacta zawarte przez Żydów z miastem. Handel żydowski usunięty został w całości z obrębu miasta i ograniczony do dzielnicy żydowskiej. Zakazano nawet handlu naręcznego. Wszelkie przechowywane w murach miasta towary żydowskie miały być konfiskowane. Przy każdym zakupie kupcy chrześcijańscy uzyskiwali pierwszeństwo. Wszystko to stwierdzano w zatwierdzonym przez króla w 1683 r. statucie Nowej Kongregacji Kupieckiej, dlatego, że:

Perfidia gens judaica zasłania się stale różnymi protekcjami i sprzedaje wskutek tego w naszym mieście, intra muros, różne towary, zwłaszcza podczas obrad Trybunału Koronnego. Przez to doprowadza nasze kupiectwo do ostatniej nędzy; ośmiela się także uprawiać handel w niedzielę i święta, czego wielokrotnie zakazywały dyrektywy sądu grodzkiego.

Trudno się było Żydom lubelskim pogodzić z takim rozwiązaniem. Stąd też przez kilkadziesiąt lat trwał proces o swobodę handlu żydowskiego. Dodajmy, iż jeszcze Jan III Sobieski uchylił większość ograniczeń.

Długo trwała walka mieszczan lubelskich o usunięcie Żydów zamieszkujących w obrębie miasta. Gdy w 1720 r. uzyskano dekret królewski potępiający Żydów i nakazujący im opuścić miasto, jego egzekucja, po licznych odwołaniach, trwała aż 40 lat. Zakończyła się ostatecznie w 1761 r. wyrokiem sądowym nakazującym staroście lubelskiemu przepędzenie Żydów z miasta. Ponownie zagęściła się dzielnica żydowska na Podzamczu i Kalinowszczyźnie. Powstały nowe skupiska Żydów na podlubelskich Piaskach i Wieniawie. Po rozbiorach Polski władze zaborcze (austriackie i rosyjskie) utrwały ten stan. Dopiero reformy Wielopolskiego z 1862 r. sprawiły, iż bramy miasta ponownie otwały się przed społecznością żydowską. W rezultacie, w przebiegu kilkudziesięciu zaledwie lat stare miasto stało się dzielnicą żydowską. Tam bowiem najchętniej kupowali Żydzi nieruchomości.

Przez cały wiek XIX Żydzi stanowili w Lublinie poważny odsetek mieszkańców miasta. Pomiędzy rokiem 1819, a 1865 ich liczba wzrosła z 4771 do 12 992 osób, co stanowiło odpowiednio 48,3 % i 59,2 % ogółu ludności. W następnych dziesięcioleciach odsetek ten utrzymywał się na podobnym poziomie. W 1885 r. Żydzi stanowili 47,6 % ogółu mieszkańców, zaś w 1905 r. 50,7 %. Liczne ograniczenia prawne wydane przez władze carskie uniemożliwiły im uzyskanie „obywatelstwa miejskiego w dziedzinie praw cywilnych”. Oznaczało to m. in. zakaz nabywania nieruchomości, ograniczenie możliwości dzierżawy, podleganie dodatkowym podatkom. Znane są z Lublina starania zamożniejszych przedstawicieli tej ludności o uzyskanie obywatelstwa. Czynił je m. in. Icek Landau – dostawca wojskowy (podanie swoje uzasadniał m. in. tym, że w czasie powstania listopadowego zaopatrywał w żywność armię rosyjską), czy Jakub Meir – również dostawca wojskowy. W obydwu przypadkach odpowiedź była odmowna. Motywowano ot tak stanem prawnym jak i interesem miasta (dodatkowe podatki). W drugim przypadku także tym, iż zainteresowany nosił ubiór żydowski.

Należy wyraźnie stwierdzić, iż do lat sześćdziesiątych XIX w. społeczność żydowska była wyraźnie dyskryminowana. Ograniczona była nie tylko możliwość swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, ale obowiązywał zakaz wykonywania niektórych zawodów, a dodatkowe podatki, np. koszerne, rekrutowe itp. Były ciężarem finansowym. Interesujące może być spojrzenie na strukturę społeczno-zawodową ludności żydowskiej i odpowiedź na pytanie, jaki był stosunek

zamożności i koncentracji kapitału w rękach tej ludności. Z badań prof. Bronisława Mikulca, specjalisty tej tematyki, wynika, iż np. z początkiem lat sześćdziesiątych XIX w. 15,4% zakładów przemysłowych Lublina należało do Żydów, 53,8% do Polaków, 23,1% do Niemców oraz 7,7% do Anglików. Nie można było zatem mówić o proporcjonalności zamożności tej grupy w stosunku do jej liczby.

W roku 1882 proporcje własności zakładów przemysłowych w stosunku do narodowości były już dla ludności żydowskiej bardziej korzystne. Z 17 istniejących w Lublinie zakładów zatrudniających powyżej 5 osób, 6 tzn. 35,3% należało do Żydów (do Polaków - 41,2%). Dodajmy jednak, iż spośród 4 zakładów zatrudniających od 51 do 100 osób aż 3 należały do Żydów. Kolejne dane z 1902 r. potwierdzają stopniowy awans tej społeczności. Spośród 33 zakładów przemysłowych Lublina do Żydów należało 12 czyli 36,4%, w tym jeden z dwóch największych, zatrudniających przeszło 100 osób. (Największym zakładem była manufaktura tabaki Leopolda Kronenberga, zatrudniająca ok. 100 osób, a następnie inna „Fabryka Tabaczna” Dawida Zylberga i Samuela Jakelesa przy ul. Ruskiej, zatrudniająca przeciętnie 130 osób). Wprawdzie nadal było to nieco mniej aniżeli odsetek ludności żydowskiej Lublina, ale dysproporcje zanikały. Uwidoczniła się przy tym koncentracja ludności żydowskiej w przemyśle spożywczym, mineralnym, poligraficznym i chemicznym. Trzy żydowskie fabryki wódek w Lublinie wyprodukowały w 1869 r. 49 700 wiader (po 12,3 litrów każde) różnego rodzaju wódek, co stanowiło ponad 80% tego rodzaju produkcji w Lublinie. Trzy spośród pięciu lubelskich browarów należało w latach sześćdziesiątych do Żydów, ale w początkach XX w. już żaden.

Jaka jest struktura społeczno-zawodowa ludności żydowskiej w XIX w.? Dominowały handel i rzemiosło. Wśród osób zajmujących się handlem nie było kupców zaliczanych do I gildii. Warstwę najliczniejszych stanowili kramarze, przekupnie, tandeciarze i faktorzy. Stanowili oni w latach sześćdziesiątych ponad 62% Żydów zajmujących się handlem, ale aż 89% wszystkich osób tej profesji w mieście. Rzemieślnicy żydowscy stanowili w połowie stulecia przeszło 58% ogółu rzemieślników. Niechętnie widziani w cechach funkcjonowali jako tzw. rzemieślnicy konsesowi (zdawali egzamin zawodowy w magistracie), stanowiąc w latach czterdziestych 87% ogółu tej grupy rzemieślników w mieście. W sumie społeczność żydowska XIX-wiecznego Lublina jawi się jako uboga, zacofana, a do lat sześćdziesiątych spychana ograniczeniami administracyjnymi do etnicznego getta.

O ile stan oświaty w Lublinie w XIX w. trudno uznać za zadowalający, to sytuacja oświatowa społeczności żydowskiej była wyjątkowo trudna aż do czasu I wojny światowej. Od czasu ukazu carskiego z 1864 r. określającego zasady kształcenia elementarnego dzieci istniały trzy rodzaje szkół: rządowe, wyznaniowe oraz prywatne. Jedyną elementarną szkołą rządową dla dzieci żydowskich była dwuklasowa szkoła dla chłopców. Działała nieprzerwanie przez pół wieku. Cieszyła się dużą popularnością i tylko limit miejsc ok. 200, wynikający z budżetu, ograniczał jej rozwój. Na drugim biegunie znajdowało się 14 szkółek religijnych (chederów), do których uczęszczało 481 dzieci (1865 r.), co dobitnie świadczy o ich wielkości. Ponadto w latach 1864-1915 funkcjonowało 39 prywatnych żydowskich (1-, 2-klasowych) szkół elementarnych. Były to najczęściej szkółki efemeryczne i do wyjątków należały takie, które przetrwały 5-10 lat. Jednocześnie istniało nie więcej niż 7 tego rodzaju szkółek. Wspomniane chedery wymykały się nawet kontroli władz. Ich liczba wahała się od 14 w 1865 r. do 182 w 1904 r. i 44 w 1912 r. W znacznej części prowadzone były nielegalnie (i likwidowane przez policję), aczkolwiek do ich

otwarcia wystarczyło złożyć podanie do kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, zaświadczenie o kwalifikacjach kandydata na nauczyciela oraz zobowiązanie do nauczania języka rosyjskiego. Chedery liczyły najczęściej kilka do kilkunastu uczniów. Te mające ponad 20 należały do rzadkości.

W wieku XIX w Lublinie nie funkcjonowało żadne żydowskie gimnazjum. Młodzież żydowska, głównie chłopcy, uczęszczała do gimnazjów rządowych bądź polskich szkół prywatnych. W tych pierwszych dbano, aby odsetek uczniów żydowskich nie przekraczał 5-15% ogólnej liczby uczniów. W szkołach prywatnych z prawami granica przyjęć sięgała 30%. W szkołach średnich bez praw żadnych ograniczeń nie było. Dopiero liberalizacja przepisów po 1905 r. spowodowała, iż w mieście powstały w latach 1909-1912 trzy średnie szkoły żydowskie.

Zmiana położenia społeczności żydowskiej Lublina nastąpiła dopiero w latach I wojny światowej. Jedno z pierwszych rozporządzeń okupacyjnych władz austro-węgierskich dotyczyło równouprawnienia Żydów. Wieniawa, stanowiąca dotychczas osobną gminę, włączona została w granice miasta. W lubelskich synagogach pojawili się liczni żołnierze wyznania mojżeszowego. Utworzony został Żydowski Komitet Ratunkowy wykazujący dużą aktywność w działalności charytatywnej, a wspomagany przez kilka innych podobnych organizacji. Powstało kilka towarzystw oświatowych. Rozwijało się szkolnictwo żydowskie, tak prywatne, jak i publiczne. W 1916 r. w mieście funkcjonowało 12 elementarnych prywatnych szkół żydowskich i 3 gimnazja. Od 1916 r. ukazywał się w języku polskim miesięcznik „Myśl Żydowska”, a od 1918 r. dziennik „Lubliner Tugblat”. Także w 1916 r. powstał żydowski teatr amatorski, a w Radzie Miejskiej pojawili się żydowscy radni (17 na 60). Był to okres niezwyklej aktywności tej społeczności, wynikającej z zaistniałych możliwości legalnego działania.

W dwudziestoleciu międzywojennym liczebność społeczności żydowskiej w stosunku do ogółu mieszkańców miasta nadal była znacząca. Według spisu 1921 r. spośród 94 412 mieszkańców miasta wyznanie mojżeszowe zadeklarowało 37 337 osób czyli 39,54% ogółu ludności. Dziesięć lat później w 1931 r. spośród 112 285 mieszkańców miasta 38 935, a więc 34,87% ogółu mieszkańców deklarowało wyznanie mojżeszowe. Oznaczałoby to, iż dynamika przyrostu ludności żydowskiej była nieco mniejsza aniżeli ogółu ludności miasta. W praktyce przyrost ludności miasta dokonywał się nie tyle w rezultacie przyrostu naturalnego co migracji, której uczestnikami byli głównie mieszkańcy wsi. Przyrost naturalny ludności żydowskiej był wyższy aniżeli Polaków. Spośród największych miast Polski wyższy odsetek ludności żydowskiej wśród mieszkańców miał tylko Lwów, ale już nie Łódź, Warszawa, Wilno.

Charakterystyczną cechą społeczności Żydów lubelskich był wyjątkowo niski stopień asymilacji (przynajmniej językowej). Był on najniższy dla 10 największych miast Polski. Tylko 2,5% społeczności żydowskiej Lublina zadeklarowało w 1931 r. posługiwanie się językiem polskim jako ojczystym. W Warszawie wskaźnik ten wynosił 5,5% w Wilnie 4,4%, w Krakowie 18,8%, we Lwowie 24,1%, w Poznaniu 29,2%, a w Bydgoszczy 46,1%. W skali całego kraju, a więc z uwzględnieniem także małych miasteczek odsetek osób wyznania mojżeszowego, podających język ojczysty żydowski lub hebrajski, stanowił 87,7%. Był to ewidentny dowód wolniejszych aniżeli w innych rejonach kraju procesów asymilacyjnych. Oznacza to, iż ludność żydowska w większym aniżeli gdzie indziej stopniu pozostawała w kulturowym getcie, że relacje ze światem zewnętrznym były słabsze.

Róża Fiszman w swych wspomnieniach *Mój Lublin* przypomina sklepiki żydowskie na ul. Lubartowskiej, gdzie każde pojawienie się kontrolera z komisji cennikowej wywoływało popłoch, gdyż na każdym sprzedawanym artykule należało wywiesić karteczkę z nazwą towaru i jego ceną. Wymagało to znajomości języka polskiego, tymczasem – jak pisze Fiszman – większość handlujących nie znała polskiego (s. 35). Podobnie – jak wspomina Fiszman – szacunek wzbudzał sąsiad utrzymujący się z pisania podań do urzędów państwowych. Był to zawód wymagający biegłej znajomości języka polskiego: *Niewielu Żydów starszego pokolenia mogło się tym pochwalić. Skupieni w dzielnicach żydowskich rozmawiali ze sobą po żydowsku. W domu, w którym mieszkaliśmy jedynym Polakiem był dozorca* [s. 38].

Dodajmy, iż – jak wspomina autorka – jego dwaj synowie biegle posługiwali się językiem żydowskim, spędzając czas wśród rówieśników.

Wspomniany, niski stopień asymilacji językowej oznaczał zarazem, iż odsetek Żydów wykonujących pracę umysłową był w Lublinie niższy aniżeli w innych miastach, bowiem inteligencja asymilowała się szybciej. Co więcej, odsetek osób deklarujących język hebrajski jako język ojczysty w stosunku do języka żydowskiego był w Lublinie niższy (3,8%) aniżeli dla innych miast (Warszawa 6,3%, Łódź – 8%, Lwów – 11,5%, Wilno 14,9%). Oznacza to, iż stopień wykształcenia wyznaniowego lubelskich Żydów był także niższy aniżeli w innych większych aglomeracjach miejskich. Można tu co prawda wnieść zastrzeżenie, iż stopień deklaracji języka hebrajskiego jako ojczystego mógł być związany z zakresem wpływów ruchu syjonistycznego, sugerującego powrót do hebrajskiego nie tylko w liturgii. Należałoby zatem porównać wpływy syjonistów w Lublinie i innych miastach. Deklaracje językowe mogły być zarazem politycznymi.

Kolejną cechą społeczności żydowskiej Lublina w międzywojennym dwudziestolecu był wysoki wskaźnik analfabetyzmu (42,5%) w 1921 r. w stosunku do 26,9% dla rzymskich katolików. Był to wskaźnik odbiegający znacznie od współczynnika dla ogółu ludności żydowskiej Polski, wynoszącego wówczas 28,3%, a dla mieszkańców miast 25,1%. Dodajmy, iż w skali całej Polski odsetek analfabetów wśród Żydów był niższy aniżeli w pozostałych grupach ludności. Wynikało to z zasad religijnych, które nakazywały by każdy ojciec uczył syna Tory i posyłał dzieci do szkoły. Najwyższy wskaźnik analfabetyzmu wśród lubelskich Żydów odnotowano wśród starszych kobiet. Dla grupy powyżej 60 lat wynosił on 58,9%. Był to także rezultat tradycji. Nie otrzymały one bowiem możliwości nauki w chederze ani w szkole świeckiej. W rezultacie społeczność żydowska Lublina jawi się na tle tak kraju, jak i innych miast jako mało wykształcona, zacofana, bardziej niż inne ograniczona gettem.

Niewiele zmieniła się od wieku XIX struktura zawodowa społeczności żydowskiej. Nadal dominowało zatrudnienie w handlu i rzemiośle z wyraźną koncentracją w tzw. przemyśle odzieżowym i galanteryjnym, częściowo spożywczym i budowlanym. Dominowały małe sklepiki i warsztaty, zatrudniające najczęściej jedynie właściciela i rodzinę. Zmiana tej struktury była bardzo trudna. Np. ograniczenia natury religijnej, tzn. konieczność świętowania dwóch dni w tygodniu (soboty jako święta żydowskiego i niedzieli jako chrześcijańskiego) utrudniały znalezienie pracy w dużym zakładzie i to niekoniecznie państwowym. Sobotnia nieobecność w pracy

dezorganizująco wpływałyby na proces produkcji. Istniała poza tym pewna niechęć do zatrudniania Żydów w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych i komunalnych w sytuacji, gdy wielu Polaków pozostawało bez pracy. Można zatem mówić o pewnej dyskryminacji społeczności żydowskiej, ale wydawała się ona wówczas na tyle oczywista, że traktowano ją jako zjawisko normalne. Gdy w 1921 r. wprowadzono monopol tytoniowy i rząd wykupił wszystkie prywatne przedsiębiorstwa tej branży spowodowało to zamknięcie przedsiębiorstw żydowskich w Lublinie, a 150 żydowskich robotników utraciło pracę. Podobne skutki spowodowało wprowadzenie monopolu spirytusowego.

Dodajmy, iż żydowski inteligent, absolwent wyższej uczelni, o ile nie otworzył własnej kancelarii adwokackiej, gabinetu lekarskiego, czy innego zakładu lub też nie znalazł pracy w instytucji żydowskiej, miał niewielkie szanse, aby poza społecznością żydowską dostać pracę w swoim zawodzie. Niejednokrotnie deklasował się otwierając, zmuszony koniecznością, kolejny żydowski sklepik lub podejmując prace w warsztacie ojca. Na marginesie dodajmy, iż stan ten był częstym powodem frustracji, także politycznych, popychających młodzież żydowską w kierunku komunizmu deklarującego równe prawa realizowania aspiracji życiowych.

Powyższe uwagi na temat wzajemnych relacji ludności żydowskiej i pozostałych mieszkańców Lublina są jedynie zarysowaniem tematu. Potrzebne są rzetelne badania naukowe nad dziejami tej społeczności. Pierwsze kroki zostały już uczynione i w 1995 r. ukaże się nakładem wydawnictwa UMCS pierwsze większe opracowanie dziejów Żydów lubelskich będące, mam nadzieję, wstępem do większego programu badawczego i związanej z nim serii wydawniczej.

Stary cmentarz żydowski w Lublinie, mimo ogromnych zniszczeń dokonanych zwłaszcza podczas II wojny światowej, jest wciąż cennym świadectwem okresu świetności lubelskiej gminy żydowskiej. Jest to obecnie (nie licząc pozostającego niemal w ruinie budynku starego szpitala żydowskiego przy ul. Siennej) jedyny obiekt gminy, jaki zachował się z kompleksu dawnego „miasta żydowskiego”.

Przekazy dotyczące początkowego okresu istnienia społeczności żydowskiej w Lublinie, jak i okresu powstania cmentarza, są bardzo fragmentaryczne. Najwcześniejsze wiadomości o Żydach osiedlających się w Lublinie (nie poparte jednak źródłami) dotyczą okresu tuż po lokacji miasta. W lustracji województwa lubelskiego (z 1570 r.) mamy wzmiankę o przywileju Kazimierza Wielkiego dla Żydów lubelskich. Osiedlenie się tu w 1475 r. rabina przybyłego z Trydentu świadczyć może o znaczącej pozycji gminy lubelskiej. Konkretnie i obszerniejsze dane o pojedynczych domach żydowskich intra muros, o lokalizacji osiedla żydowskiego poza murami miasta (w związku z przywilejem *de non tolerandis Judaeis*) oraz o instytucjach gminy – pojawiają się dopiero od przełomu XV i XVI wieku.

Najstarszy przekaz o samym cmentarzu, jaki znany jest ze źródeł archiwalnych, pochodzi z roku 1555. Mówi on, że król Zygmunt August aprobuje fakt przekazania przez starostę Stanisława Tęczyńskiego (w 1554 r. lub wcześniej) trzeciej części góry zwanej Grodzisko na cmentarz dla Żydów lubelskich. Ten akt prawny był jedynie zatwierdzeniem stanu faktycznego – istniejącego nie wiadomo od jak dawna. Same nagrobki wnoszą dodatkowe informacje i stanowią cenne źródło do dziejów cmentarza i gminy. Najstarsza inskrypcja nagrobna z tego cmentarza, jaką opublikował już w 1899 r. lokalny historyk Szlomo Baruch Nisenbaum (w pracy *Le-korot ha-jehudim be-Lublin*), wskazuje datę pochówku z roku 1541. Nagrobek ten istnieje do dziś na swym pierwotnym miejscu i jest to najstarszy z zachowanych in situ nagrobków żydowskich w Polsce. W 1889 r. (a więc dziesięć lat przed publikacją pracy Nisenbauma) opublikowana została informacja o dwóch innych badaczach inskrypcji nagrobnych (H. Neumanowiczu i S. D. Rozenthalu), którzy na tymże cmentarzu – na jednym z wielu zniszczonych przez czas nagrobków – odczytali datę pochówku z roku 1489/90 (5250 r. wg kalendarza żydowskiego). Z lokalizacji tego kamienia wynika, że znajdował się on w pobliżu poprzednio wymienionego.

Cmentarz mógł tu istnieć jeszcze wcześniej. Powstał on bowiem na opuszczonym wzgórzu (otoczonym rozlewiskami rzek – Bystrzycy i Cechówki), na którym do przełomu XIII i XIV w. funkcjonował gród warowny (stąd nazwa: Grodzisko).

Obszar grzebalny z czasem powiększał się i około początku XVII w. objął zapewne cały teren wzgórza. Wskazywałby na to fakt, że na początku XVII w. znaczna część wzgórza pokryta została warstwą ziemi o grubości około 1 metra i w tej warstwie dokonywane były nowe pochówki. Przykłady tego rodzaju postępowania znane są z wielu innych cmentarzy żydowskich. Fakt ten, jak wiele interesujących informacji o obrządku pogrzebowym, ujawniły badania archeologiczne prowadzone na wzgórzu, mające na celu odnalezienie reliktyw dawnego grodu. Przy tej okazji rozpoznany został układ pochówków, zwyczaj wkładania do grobu kłódki, umieszczanie przy zmarłym monet, przykrywanie oczu i ust zmarłego skorupami ceramicznymi.

W 1829 r. otwarty został nowy cmentarz żydowski. Najpóźniejszy ze znanych dotąd pochówków na tym cmentarzu – na podstawie zachowanego nagrobka – miał miejsce wiosną 1830 r.

Wspomniana praca Nisenbauma przekonuje nas, że inskrypcje nagrobne wnoszą

wiele cennych danych dla badaczy społeczności żydowskiej Lublina i innych gmin. Pośród biogramów znaczących osób – jakie sporządzał Nisenbaum – znaczna część owych biogramów opiera się wyłącznie na tekstach epitafiów. Do dziś przetrwała jeszcze część nagrobków, nawet z XVI w., którymi Nisenbaum nie był wówczas zainteresowany. Obecnie zachowane nagrobki z XVI-XVIII w. należą do rzadkości i niejako siłą rzeczy są cennymi zabytkami epigraficznymi.

Cmentarz dewastowany był w przeszłości wielokrotnie. Z połowy XIX w. mamy przekazy o niszczeniu nagrobków przez wojsko stacjonujące w sąsiadującym z cmentarzem klasztorze franciszkańskim. Największe zniszczenia dokonane zostały jednak podczas II wojny światowej. Spośród tysięcy nagrobków pozostało (w różnym stopniu uszkodzonych) około dwustu. Mimo tak dużych zniszczeń (dokonywanych niestety i obecnie) zachował się całkowicie pierwotny teren cmentarza – wysokie wzniesienie o nieregularnej powierzchni otoczone potężnym kamiennie-ceglanym murem, zapewne z XVI-XVII w. Wartość zabytkowa tego układu jest w obecnych czasach unikatem. Warto tu przypomnieć, że cmentarz ten jest najstarszą spośród zachowanych nekropoli żydowskich w Polsce.

* * *

Kewri awot – tzn. groby ojców (przodków) – to w tradycji żydowskiej bardzo ważne pojęcie i można rzec, że jest to ważna instytucja religijno kulturowa. Do kultywowanych dotąd zwyczajów, zwłaszcza wśród Żydów ortodoksyjnych, należy odwiedzanie grobów znamienitych mężów-mędrców, autorytetów religijnych i przywódców duchowych. Na starym cmentarzu lubelskim pochowanych jest wielu takich mężów, których autorytet i sława sięgały daleko poza granice Rzeczypospolitej. Ponadto przetrwały do dziś nagrobki niektórych z nich. Najczęściej i najliczniej odwiedzanym jest grób przywódcy chasydzkiego – cadyka Jakowa Jicchaka halewi Horowica zwanego ha-Choze mi-Lublin (Widzący z Lublina), zmarłego w 1815 r. Pielgrzymujący Żydzi odmawiają przy grobie modlitwę, zapalają świece, kładą na nagrobku małe kamyczki (odniesienia do tego zwyczaju sięgają do czasów biblijnych) oraz zostawiają kwitki – kartki z zapisanymi prośbami o pośrednictwo u Boga. Ślady takiego zwyczaju widzimy również na grobach innych znamienitych mężów, zwłaszcza Szaloma Szachny (zmarłego w 1558 r.) – uznanego za twórcę lubelskiej szkoły talmudycznej (jesziwy) oraz Szlomo Lurii zwanego Maharszal (zmarłego w 1573 r.), który był najśłynniejszym rektorem lubelskiej jesziwy, autorem licznie publikowanych dzieł. Jego imieniem nazwana zwołana główna synagoga lubelska.

Stary cmentarz odwiedzają Żydzi niemal z całego świata. Pobożni, ortodoksyjni, w tradycyjnych strojach pielgrzymują tu w celach religijnych. Dla wycieczek – głównie z USA i Izraela – jest to (obok obozu na Majdanku) stały punkt programu zwiedzania Lublina. W ostatnich latach coraz częściej pojawiają się liczne grupy wycieczkowe swobodnie zachowującej się młodzieży żydowskiej, dla której jest to egzotyczna lekcja historii.

* * *

Część dotyczącą aspektu artystycznego nagrobków potraktuję nieco obszerniej niż poprzednie – ze względu na charakter moich zainteresowań.

Zespół zachowywanych na starym cmentarzu nagrobków stanowi swoisty ewenement. Stele te prezentują bowiem ciąg rozwojowy tradycyjnej żydowskiej plastyki sepulkralnej od pierwszej połowy XVI w. po lata 30. XIX w. (a biorąc pod

uwagę także stele wtórne – niemal po kres XIX w.). Ta niewielka grupa nagrobków, jaka przetrwała, zapewne nie jest reprezentatywna dla stanu istniejącego pierwotnie. Jest jednak na tyle różnorodna, że można potraktować ją jako pars pro toto i dokonać pewnej systematyki.

1. Cechy formalne

Prawie wszystkie zachowane przykłady reprezentują typ tradycyjnego dla Żydów aszkenazyjskich nagrobka w formie pionowej, kamiennej steli. Na niektórych kamieniach odcisnęły swoje cechy formalne poszczególne okresy stylistyczne. Mamy przykłady renesansu, manieryzmu, baroku, klasycyzmu. Tak jak w całej sztuce żydowskiej w Polsce – formy stylowe są często spóźnione, uproszczone i wykazują dużą inercję czasową.

Najstarsze stele, pochodzące z XVI w., reprezentują jeszcze średniowieczny typ nagrobka żydowskiego. Są to prostokątne płyty, wypełnione inskrypcją wykutą wgłębnie, nie posiadające żadnych ozdób lub tylko profilowane obramowania. Tego rodzaju przykłady zachowały się z przedziału od lat 40. do 90. XVI w.

Formy renesansowe prezentują stele z końca XVI w. po lata 30. XVII w. Ich strona frontowa zakomponowana jest na wzór renesansowej edikuli lub portalu. Uwidacznia się wyraźny podział na „korpus” z inskrypcją oraz wyodrębnione zwieńczenie, w którym umieszczane są czasem przestawienia symboliczne. Inskrypcje są najczęściej wypukłe.

Na starym cmentarzu istniały także nagrobki typu skrzyniowego (pseudosarkofagi). Kamień o bokach w kształcie trapezu (z datą 1669) był zapewne nadstawą skrzyni – tak jak w nagrobkach z krakowskiego cmentarza Remu. Zachowała się również część innej nadstawy z tego czasu oraz elementy skrzyń.

Stele o cechach typowo barokowych nie są znane z tego cmentarza. Istnieje natomiast szereg stel z połowy XVII w. z elementami z pogranicza manieryzmu i baroku.

Zachowane nagrobki z XVIII w. nie odznaczają się żadnymi cechami, które nawiązywałyby do stylów panujących wówczas w sztuce. Część z nich to ascetyczne formy nawiązujące do starszych nagrobków. Inne cechuje rozbudowany zestaw motywów symbolicznych, umieszczonych w zwieńczeniu.

Od początku XIX w. na niektórych stelach pojawiają się elementy klasycyzmu (np. nagrobek Jaakowa Jicchaka Horowica, zm. 1815).

Najmłodszy nagrobek, jaki zachował się na tym cmentarzu, wykonany został w 1893 r. Mamy tu przykład wtórnej steli ufundowanej przez potomków zmarłego w miejsce poprzedniej – jak informuje inskrypcja na tym nagrobku. Wtórna stela ufundowana została przez gminę w 1876 r. także dla wspomnianego już Maharszala.

2. Symbolika i ornamentyka

Powszechnie przyjęte jest przez badaczy żydowskiej sztuki sepulkralnej, że do ok. połowy XVI w. na nagrobkach Żydów aszkenazyjskich w zasadzie nie występowały żadne motywy przestawiające. Jedynymi elementami zdobnictwa były – kształt i wielkość liter i niekiedy proste obramowania. Zasada ta potwierdza się również na starym cmentarzu lubelskim. Pierwsze motywy przedstawiające – w postaci form roślinnych (np. liść akantu, palmeta, rozeta) znane są tu ze stel z końca XVI w. Od połowy XVII w. znane są nagrobki z pojedynczymi symbolami odnoszącymi się personalnie do zmarłego, np.: dłonie w geście błogostawieństwa na nagrobku kapłana Jehudy Lejba ben Szlomo (zm. 1646), jeleń na nagrobku zmarłego w 1690 r.

Cwi-Hirsza (tzn. Jelenia), korona z inskrypcją: „Eteret Cwi” („Wspaniała Korona”) na nagrobku uczonego męża – Cwi Hirsza ben Azriel (zm. 1737). „Eteret Cwi” to tytuł jednego z dzieł tego uczonego męża. Od XVIII w. występują już ponadto rozbudowane kompozycje przedstawień symbolicznych z typowymi i powszechnie stosowanymi w tym czasie na nagrobkach żydowskich motywami. Te typowe motywy opisane zostały już wielokrotnie w literaturze przedmiotu, zatem omawianie ich tu nie jest konieczne. Warto natomiast zwrócić uwagę na kilka nietypowych przykładów występujących na starym cmentarzu lubelskim.

Na zniszczonym już nagrobku Awrahama ben Chajjim Heilpern (zm. 1762), który nota bene był przedostatnim marszałkiem Sejmu Żydów Korony, istniało zupełnie wyjątkowe dla XVIII w. przedstawienie postaci ludzkiej. Odnotowane to zostało przez badaczy sztuki żydowskiej jako ewenement, gdyż wśród Żydów aszkenazyjskich wyobrażanie postaci ludzkich – zwłaszcza na nagrobkach – obwarowane było zakazami rabinicznymi. Przedstawiony na tym nagrobku starzec, trzymający napięty łuk ze strzałą, jest zapewne alegorią śmierci.

Taki sam temat, lecz ujęty już w zgodzie z tradycją, mamy na fragmencie nagrobka mężczyzny zmarłego w 1800 r. Postać ludzką zastępuje tu zwierzę – w tym przypadku lew trzymający w łapach napięty łuk ze strzałą.

Podobnie – w zastępstwie postaci ludzkiej – występuje baśniowa istota mieszana – pół-jednorożec, pół-ryba – na nagrobku Jekutiela Zalmana (zm. 1803). Trzyma ona między kopytami moździerz lub młynek. Zwierzęta trzymające takie przyrządy występują na nagrobkach aptekarzy na starym cmentarzu żydowskim w Pradze. Jednak w tym przypadku inskrypcja nie zawiera odnośnej do tego informacji.

Cechy ludzkie nadane zostały lwom na nagrobku Awrahama ben Jaakow Jicchak ha-lewi Horowic (zm. 1809). Lwy z ludzkimi dłońmi dźwierzą tu dzban – atrybut pokolenia lewitów.

Popiersie dziwnego, człekokształtnego lwa, oplecionego wicią roślinną, znajduje się na nagrobku Zisel bat Szlomo (zm. 1819). Podobne przedstawienia istniały w zdobnictwie synagog drewnianych z XVII i XVIII w.

Charakterystyczne dla cmentarza lubelskiego są XIX-wieczne stele ozdobione bordiurami ze zwierzętami wplecionymi w wić roślinną. Pojawiają się tu jednorożce, wiewiórki, zające, lwy, jelenie, ptaki. Analogie tego tematu znane są w sztuce żydowskiej już od czasów starożytnych synagog w Palestynie.

Nagrobki cmentarza lubelskiego prezentują również bogatą kolekcję przykładów liternictwa hebrajskiego. Sposób cięcia i kształt liter są ściśle związane z artystycznym wyrazem nagrobków. Archaiczne, surowe formy liter z XVI w. przechodzą w wyrafinowane kształty w XVII i XVIII w. Na początku XIX w. napisy „ożywają” dzięki roślinnym i zoomorficznym dodatkom. Z zakończeń liter wyrastają listki, gałązki lub główki ptaków. Z czasem forma liter upodabnia się do typowego, popularnego kroju pisma drukarskiego.

3. Polichromia nagrobków

Obecny wygląd cmentarzy żydowskich nie oddaje w pełni ich pierwotnego charakteru. Brak im elementu, jakim była polichromia nagrobków.

Polichromia rzeźby kamiennej i drewnianej, w tym także obiektów sepulkralnych, była często stosowana w starożytności i kontynuowana w czasach nowożytnych. Wczesne przykłady stosowania barwy w żydowskiej plastyce sepulkralnej – z pierwszych stuleci naszej ery – mamy w katakumbach w Rzymie oraz w katakumbach w Bet Szearim (Galilea). Nie znalazłszy potwierdzenia w znanych mi

zachowanych nagrobkach, ani w piśmiennictwie - nie mogę wypowiedzieć się na temat kontynuowania takiego zdobnictwa w wiekach średnich. Znane są natomiast przykłady polichromowanych nagrobków żydowskich począwszy od XVI w. - między innymi z obszaru Włoch, Niemiec, Polski, Ukrainy. Na podstawie zachowanych przykładów od XVI do XX w. można przyjąć, że zwyczaj ten był wśród Żydów aszkenazyjskich rozpowszechniony. Nagrobki takie odnajdujemy również na starym cmentarzu w Lublinie. Na najstarszych kamieniach ślady farby nie są widoczne przy pobieżnym oglądzie, ale przetrwały w zagłębieniach i liniach rytu.

Na najstarszym kamieniu (z datą: 1541) zachowały się tylko drobiny czerwonej i czarnej farby w zagłębieniach liter. Na dwu sąsiednich stelach z tego czasu (1543 i 1552?) ślady farby wykazują co najmniej dwie warstwy polichromii o różnej kolorystyce. W spodniej warstwie są ślady ultramaryny w tle inskrypcji oraz czerwieni i czerni na literach. Polichromia na tych trzech nagrobkach jest doskonale widoczna na fotografiach archiwalnych (oczywiście czarno-białych) z początku XX w.

Na fragmentach nagrobków z XVII i XVIII w. zachowały się ślady białej farby w tle napisów, czarnej na literach w przeważającej części wersów oraz czerwonej - wyróżniającej w inskrypcji personalia zmarłego i daty. Ponadto profilowane obramowania podkreślane były czerwienią i czernią. W niektórych przypadkach możliwe jest zrekonstruowanie pełnej polichromii na podstawie zachowanych resztek farby.

Nagrobki z XIX w. mają bardziej rozbudowaną kompozycję i większą ilość elementów zdobniczych - a co za tym idzie - bogatszą polichromię. Na niektórych z nich przetrwała do czasów obecnych pełna polichromia, choć już nieco przybladła. Tak jest zwłaszcza na tych kamieniach, które wydobyte zostały z ziemi.

* * *

Stary cmentarz, pomimo ogromnych zniszczeń substancji zabytkowej, zawiera w sobie jeszcze znaczną porcję różnych informacji. Z zachowanych nagrobków odczytać można częściowo etapy jego rozwoju przestrzennego i wewnętrzną organizację nekropolii, prześledzić fazy rozwoju i przemian form nagrobków, przedstawień symbolicznych, motywów dekoracyjnych i epigrafiki na przestrzeni trzech stuleci. Nagrobki - co już zostało wspomniane - wnoszą pewne informacje do dziejów gminy, a ponadto dają pewien obraz jej pozycji ekonomicznej i kulturalnej.

Pośród zabytków żydowskich stary cmentarz lubelski zaliczany jest do najwyższej rangi, i to nie tylko w skali naszego kraju. Należy tylko żałować, że świadomość tego faktu funkcjonuje w zbyt małym kręgu. Ten niszczący wciąż obiekt, który po odpowiednim uporządkowaniu mógłby przysporzyć Lublinowi takich korzyści jak równorzędne mu cmentarze w Krakowie czy Pradze, przysparza miastu jedynie złej sławy w świecie (o czym może nie wiedzą władze miasta).

Trudno jest po 55 prawie latach mówić bez wzruszenia o tragicznej przeszłości miasta, w którym się wychowywało, w którym spędziło się swoją młodość, a w którym praktycznie pogrzebało się wszystkich swoich najbliższych. Wspomnienia moje mogą więc być nieco wyblakłe (?) lub przebarwione. Dotyczą przecież moich najbardziej osobistych i bolesnych przeżyć oraz losów mojego ukochanego miasta.

Lublin, który opuściłem w 1939 roku, stał się dla mnie po powrocie w 1946 roku cmentarzem pozostawionych tam Żydów. Nie zastałem już tych z którymi żyłem, mieszkalem i przeżywałem tak smutki, jak i radości. Wymordowano naród.

Kancenelson napisał: „Już oto nigdzie go nie ma, żył, umarł i niepogrzebion”. Nie ma już nawet ulic, do których tak byłem przywiązany. Powstały nowe, piękniejsze może?... i choć nie są mi obce, tęsknię za tamtymi. Nie spotykam już tych, którzy tu żyli, chodzili do szkoły, do pracy, na spacer, do domów modlitwy. Przechodzę ulicę Nową i nie spotykam ani jednego Żyda. Nie ma ich również na Lubartowskiej, Kowalskiej, Ruskiej, Kalinowszczyźnie, Czwartku czy Furmańskiej. Ani starych, ani młodych. Po prostu nie ma już śladu po żydowskim Lublinie. Wszystkich w okrutny sposób zgładzono. I ciągle jeszcze nie dotarło to do mojej świadomości i ciągle jeszcze szukam tu tych 40 000 istot ludzkich. Jedną trzecią ludności ówczesnego Lublina po prostu zamordowano. I trudno sobie dziś wyobrazić, ile łez, cierpień, głodu i upodlenia towarzyszyło tym mordom, tej okrutnej śmierci zadanej w tył głowy, lub w komorze gazowej. A byli to Żydzi, którzy żyli w tym mieście i uczestniczyli w jego rozwoju przez kilka wieków. I ten mój żydowski Lublin przestał istnieć. Przez wieki całe Żydzi powtarzali „Dor holech wedor boa” – „Pokolenie odchodzi, pokolenie nadchodzi”. Ale teraz nie! Już nie nadejdzie. Wszystko zostało wyrwane z korzeniami. To piękne miasto o tak bogatych tradycjach żydowskich, miasto, które od XVI wieku Żydzi nazywali „Jerozolimą Polski” lub „Matką Izraela” nie istnieje.

Rok 1939 stał się dla Żydów początkiem końca. Hitlerowskim zbirom wystarczyły trzy lata dla unicestwienia Żydów Lublina wraz z ich całym dorobkiem wieloletniej kultury, jedynie dlatego, że byli Żydami.

Po tym zbyt długim być może wstępie pragnę podzielić się z państwem kilkoma wspomnieniami dotyczącymi Żydów Lublina w przededniu II wojny światowej. Nie sposób naturalnie przedstawić całego barwnego i tętniącego życiem miasta i mieszkających tu od XIV wieku Żydów.

Sięgając pamięcią do tamtych czasów, jako Żyd i mieszkaniec tego miasta, pragnę przekazać państwu tylko skrót najbardziej charakterystycznych fragmentów z życia Żydów lubelskich w przededniu ich ostatecznej klęski i śmierci.

W Lublinie do 1939 roku mieszkało około 43 000 Żydów, na ogólną liczbę 130 000 mieszkańców. Tak więc co trzeci mieszkaniec tego miasta był Żydem. Mieszkali przeważnie w tzw. „dzielnicy żydowskiej”.

Mieściła się ona w trójkącie, którego wierzchołek stanowiła Brama Krakowska, lewe ramię trójkąta wyznaczała ulica Nowa (do niedawna Rady Delegatów) wraz z równoległą do niej Świętoduską (do niedawna Hanki Sawickiej), które przy ulicy Kowalskiej, łącząc się, przechodziły w ulicę Lubartowską wraz z jej bocznymi uliczkami, takimi jak Cyrulicza, Ruska, Czwartek, aż do tzw. Rogatki Lubartowskiej. Prawe zaś ramię, to ulica Bramowa, wraz z kilkoma bocznymi ulicami, takimi jak: Olejna, Rybna, Jezuicka, Szambelańska, dalej Grodzka, Krawiecka, Sienna, aż do Białkowej Góry. Podstawą tego trójkąta była ulica Unicka i Kalinowszczyzna prawie

do Tatarskiej. Główną częścią tego trójkąta była ulica Szeroka, zwana kiedyś „Żydowską”. Zaczynała się przy Kowalskiej, a kończyła przy Ruskiej. Ta część dzielnicy zamieszkiwana była prawie wyłącznie przez Żydów.

Należy tu również wspomnieć o trzech przedmieściach, których znaczną część stanowili Żydzi. Były to Piaski, Wola-Kalinowszczyzna i Wieniawa. W tej ostatniej liczba Żydów była stosunkowo duża.

Żydowski mieszkańcy Lublina należeli do kilku warstw gospodarczo-społecznych. Grupą najliczniejszą byli robotnicy, drobni kupcy, sklepikarze-kramarze i tzw. „nie wiadomo z czego żyjący”. Znaczna część z nich należała do najbiedniejszych mieszkańców miasta. Następną grupą to rzemieślnicy i właściciele drobnych warsztatów. I wreszcie wielcy kupcy, fabrykanci i inteligencja. Właściciele fabryk i większość warsztatów zatrudniali dziesiątki robotników. Wystarczy wspomnieć, że tylko trzy garbarnie na Kalinowszczyźnie zatrudniały około 300 żydowskich robotników. Inteligencja żydowska, fabrykanci i właściciele większych warsztatów oraz kamiecnicy, nie mieszkali w dzielnicy żydowskiej, lecz przeważnie na Krakowskim Przedmieściu, przy ul. Szopena, 3 Maja, Cichej, Narutowicza, Królewskiej. Rozwarstwienie to, tak pod względem ekonomicznym jak i społeczno-kulturalnym, było znaczne. Analfabetów na ogół nie było. Wielu Żydów z niższych warstw społecznych nie znało wprawdzie języka polskiego, ale prawie większość, tak w słowie, jak i w piśmie posługiwali się językiem żydowskim.

Podobnie jak w innych miastach, tak jak w Lublinie, niektóre ulice związane były z jakąś specyficzną gałęzią handlu czy rzemiosła. I tak np. ulica Nowa znana była ze sprzedaży odzieży lekkiej i ciężkiej. Sprzedawcy – właściciele tych sklepów, mieli przeważnie własne warsztaty krawieckie, a nazywano ich „tandeciarzami”. Tu dosłownie walczone o klienta. Konkurencja była duża. Kupujący to przeważnie chłopcy oraz uboga lub średnio zamożna warstwa Żydów i Polaków. Przy ulicy Kowalskiej usadowiły się sklepy ze skórą. Byli tu i hurtownicy i detaliści. Ulica Cyrulicza i Furmańska opanowane były przez tragarzy i furmanów. Powszechnie znane były tu dwa podwórka, do których zajeżdżali okoliczni drobni kupcy z sąsiednich miasteczek. Przywozili gotowe wyroby, a wywozili surowce i inne towary. Jedno z tych podwórek łączące się z ulicą Cyruliczą 5 i Kowalską 4, nazywano „Fajgały Awrum Lajzors haif”, a drugie pod nr 4 na Cyruliczej „u Borensztajna”. Materiały ubraniowe, wełna, bawełna i inne, można było kupić w sklepach przy ulicy Lubartowskiej, a zwłaszcza po jej stronie parzystej, po jej stronie parzystej, poczynając od nr 2 aż do nr 14.

Lublin nie był miastem wysoko uprzemysłowionym, a w fabrykach polskich na ogół Żydów nie zatrudniano. Podobnie wyglądała sprawa Żydów w instytucjach i urzędach państwowych. Stąd też, znaczna część ludności żydowskiej zajmowała się handlem i rzemiosłem. W informacjach o Lublinie z 1939 r. podaje się, że w Lublinie było 2588 zakładów rzemieślniczych posiadających karty rzemieślnicze. W tym 1065 zakładów chrześcijańskich i 1523 zakłady żydowskie.

W zwykłe dni, na ulicach – zwłaszcza handlowych, ruch był wielki. Nie tylko stali mieszkańcy miasta, ale i spora część przyjezdnych chłopów z odległych nawet wiosek, powodowała zatłoczenie ulic, oraz gwar, śmiech, a także drobne spory. Tak było przez cały tydzień, z wyjątkiem sobót i świąt. W dni świąteczne cała dzielnica żydowska przybierała zupełnie inny obraz. Sklepy, warsztaty i drobne wytwórnie zamknięte. Tragarze i furmani świętowali. Kramarze i tzw. handel „ręczny” zanikały całkowicie. Żydzi ubrani świątecznie. Mężczyźni w czarne alpapagowe lub jedwabne

kapoty i aksamitne czapki, kobiety w odświętnych strojach, podążali do domów modlitwy, na sobotnie spacerory lub z wizytami do krewnych lub znajomych. Dzieci bawiły się na ulicach i placach.

Znaczna część Żydów lubelskich skupiała się wokół gminy żydowskiej, która obok spraw religijnych, prowadziła działalność społeczno-kulturalną i charytatywną. Działalnością tą objęta była szkoła żydowska Talmud -Tora, szpital, dom sierot i starców, TOZ, dożywianie dzieci, łaźnie i cmentarze. Pomoc ta stosowana była ciągle lub doraźnie. Do najbardziej znanych organizacji charytatywnych zaliczano:

Pat Leorchim
Hachnusat Kały
Hachnusat Orchim
Linat Hacedek
Achiezer
Tomchaj Noflim

Subwencje finansowe przeznaczone na ten cel, nie były duże. Wspomnieć, że w latach 1936-1937 budżet gminy wynosił 250 000 zł.

Do zarządu gminy w 1936 r. wybrano 14 osób. Byli między nimi: Szloma Herszenhorn, Aron Bach – adwokat, Urysz Cymerman – rzemieślnik i inni. Prezesem gminy był w owym czasie Halbersztat, a vice prezesem Salomon Kestenberg.

Domów modlitwy było w Lublinie wiele, bo prawie 100. Zwłaszcza w dzielnicy Podzamcze. Największa i najbardziej znana to synagoga Maharszala i Maharama, która pomieścić mogła ponad 300 modlących się mężczyzn i około 500 kobiet. Następne, to synagoga zwana „Lejfer – Szul” przy ul. Podzamcze, w której modlili się kuśnierze. Była to jedna ze znanych synagog, związana z Szaulem Wahlem, legendarnym jednodniowym królem polskim. Wymienić należy również starą synagogę przy ul. Szerokiej 2, w której modlili się przeważnie kotlarze i stąd jej nazwa „Kotlar – Szul”. Wybudowana została na mocy przywileju króla polskiego Władysława IV w 1641 roku. Ponadto były bóżnice zwane Beit Hamidraszim, z których największe to: Bóżnica Rabego Choze przy ul. Szerokiej 28, Bóżnica Parnasa przy Szerokiej 44, wystawiona przez Abrahama Helperina w XVIII wieku i Dom Modlitwy Chewry Nosim przy ul. Lubartowskiej 10, gdzie otwarta została „Izba Pamięci”.

Warto również wspomnieć, że własne domy modlitwy, tzw. „Bóżniczki” (Sztiblech) mieli poszczególni chasydzi – zwolennicy cadyków z Góry Kalwarii, Radzenia, Kocka, Czortkowa i inne. Takich bóżniczek było około 15.

I zawsze w dni sobotnie i święta były one przepiękne. Parę słów wypada poświęcić największej i najstarszej synagodze Lublina, jaką była synagoga Maharszala i Maharama. Wybudowano ją w 1567 roku. Kilkakrotnie przebudowywana na skutek pożarów, była dumą żydowskiego Lublina. Nie można przy tej okazji pominąć znanej w owym czasie postaci Dawida Kellera, który spełniał w tej synagodze zaszczytną rolę odczytywania wersetów Tory, tzw. „Baal – Kore”. Jego wspaniały głos i dykcja uroczyście rozbrzmiewały w tej olbrzymiej, o doskonałej akustyce Sali i pozostały w pamięci wielu Żydów z Lublina jako pełna uroku i wzruszeń ceremonia. Spośród wielu kantorów tej synagogi wspomnieć należy Israela Mosze Rudnickiego, który przybył tu z Zamościa, gdzie również uprawiał ten piękny zawód. Mieszkał przy ul. Ruskiej 13 w latach 1935-1937. Syn Rudnickiego, prof. Arad był dyrektorem Yad – Vaszem w Jerozolimie. W końcu sierpnia 1988 r. był w Lublinie

na międzynarodowym sympozjum. Odwiedził przy okazji swój dom i zabytki żydowskie Lublina.

Warunki ekonomiczne robotników i sprzedawców zatrudnionych w sklepach żydowskich oraz pracowników większych warsztatów były przesłanką do powstania i rozwoju żydowskiego proletariatu, który rozpoczął walkę ze swoimi „chlebobawcami”. Walka ta stała się również załączkiem związków zawodowych. Do największych należały: Związek robotników transportu – tragarzy, związek pracowników handlu z kilkoma sekcjami. Jeden tylko związek robotników z branży skórzanej zrzeszał ponad 500 polskich i żydowskich robotników zatrudnionych w garbarniach na Kalinowszczyźnie. Związek drukarzy obejmował robotników zatrudnionych w gazecie żydowskiej. Zrzeszał robotników zatrudnionych w kilku drukarniach oraz w drukarni dziennika „Lubliner Tugblat”. Znani działacze tego związku to: Rajchensztajn, Sztokfisz, Goldberg, Binsztok i inni.

Związek rzemieślników żydowskich powstał w 1926 roku i prowadził szeroką działalność społeczno-polityczną i kulturalną. Jego założycielami byli: Berisz Krempel, Hercman, Wasesztorm i inni. W 1928 roku przy związku zorganizowano tzw. Bank Chałupników. Związek mieścił się na Krakowskim Przedmieściu 26, a bank przy ulicy Lubartowskiej.

Związki zawodowe popierane były przeważnie przez żydowską partię robotniczą „Bund” i lewicową organizację syjonistyczną robotniczą „Poalej Cijon”. Przedstawiciele tej partii zasiadali często w Radzie Miejskiej i brali czynny udział w pracach zarządu gminy żydowskiej. Na ogół wszystkie związki branżowe zrzeszone były w Radzie Związkowej. Z działaczy wymienić należy: Krempla, Lerera, Dubińskiego. Związki zawodowe Lublina mają bogatą historię i zasługują na specjalne opracowanie. Są bowiem w dużym stopniu odzwierciedleniem życia znacznej części ludności pracującej tego miasta.

Ważną rolę społeczną spełniał w Lublinie szpital żydowski. Posiadał kilka podstawowych oddziałów, ze stoma łóżkami dla chorych. Jego długoletnim dyrektorem i ordynatorem był dr Cynberg, który na terenie szpitala działał od 1898 do 1936 r. Pracowali w tym szpitalu znani w Lublinie lekarze żydowscy, tacy jak: Tenenbaum, Zigelwaks, Płotkin, Kagan, Ziper, Prusak, Zajdman i wielu innych. Dr Mandelbaum był dyrektorem szpitala od 1936 r.

Na uwagę zasługuje również działalność TOZ-u i doktora Herszenhorna, który wstawił się przede wszystkim organizowaniem półkolonii dla biednych żydowskich dzieci z Lublina (1200 dzieci rocznie). Nazywano go „Judymem z Lublina” i „Korczaikiem”. Nie należy również zapominać o organizacji Bikur-Cholim, która zajmowała się opieką nad chorymi i starcami w ich domach. Organizacja działała w każdej prawie dzielnicy żydowskiej Lublina.

Nie było w Polsce partii politycznej, która nie miała swojego odpowiednika w Lublinie. Do największych należały, jak już wspomniałem, „BUND” i „AGUDA”, zrzeszająca religijnych Żydów z postem na sejm Meirem Szapiro – rektorem Żydowskiej Wyższej Szkoły Rabinackiej „Jeszywas Chachmej Lublin”.

Poważną rolę w życiu społeczno-politycznym Żydów Lublina odegrały partie syjonistyczne, poczynając od skrajnie prawicowych – rewizjonistycznych, a na lewicy Hozzomer Hacair i Poalej Cijon kończąc. Działała również nielegalna partia

komunistyczna, której członkami byli robotnicy i postępową młodzież. Znany jest z tego okresu wielki proces polityczny Mejerzona. Działalność organizacji politycznych miała duży wpływ na rozwój szeregu organizacji i towarzystw. Należała do nich np. „Liga Kulturalna”. Organizacje te posiadały własne biblioteki z dużą ilością książek i czasopism, tak w języku polskim jak i żydowskim. Odbywały się w nich wieczory literackie, dyskusyjne i artystyczne. Wygłaszane były ciekawe referaty, często nie tylko przez miejscowych referentów. Organizacje te posiadały często własne chóry i orkiestry.

Miał Lublin swój teatr. Mieścił się w budynku kina „Panteon” przy ulicy Jezuickiej. Wystawiano tam 2, 3 razy w tygodniu znane sztuki w wykonaniu takich aktorów, jak Ida Kamińska, Jonas Turkow, Moris Szwarc, Dina Halpern, Rudolf Zasławski, Dżigan i Szumacher i inni. I chociaż nie był to teatr stały, spełniał swoje kulturalne posłannictwo. Nad całością prac artystycznych i administracyjnych teatru czuwał dyrektor Trachtenberg.

W Lublinie było kilkadziesiąt chederów, szkół religijnych, a najwięcej przy ulicy Nastawnej. Do chederu posyłano dzieci po ukończeniu 3 lat. Nauczano w nich sposobem bardzo prymitywnym, metodą „wkuwania” na pamięć niektórych liter, słów, a nawet całych zdań. Z każdego prawie drzwi i okien przy Nastawnej dochodziły głosy młodych uczniów i ich nauczycieli „meamedów”. Dzieci rodziców najbiedniejszych posyłano do bezpłatnego chederu specjalnego, tzw. „Talmud-Tora”.

Żydowskie szkolnictwo lubelskie szczyliło się trzema gimnazjami: Szpera przy ulicy Zamojskiej (zlikwidowane w latach 30.), Glazberga przy ul. Radziwiłłowskiej (istniało przez kilka lat) i wreszcie gimnazjum humanistyczne przy ul. Radziwiłłowskiej i Niecałej. Gmach przy ul. Radziwiłłowskiej zbombardowano podczas wojny w 1939 r. Wówczas to zginął nasz ukochany woźny Najhauz z całą swoją rodziną. Zasługuje on na to wspomnienie, gdyż był prawdziwym przyjacielem młodzieży. Wiedział wszystko o gimnazjum i o nas. Przeżywał nasze troski i radości. Przeżywał z nami każdy egzamin maturalny i przy tych okazjach mawiał: „W tym roku damy tylko 25 matur”. Istotnie, każdego roku, świadectwo dojrzałości otrzymywało zaledwie 25-30 absolwentów. W innych polskich gimnazjach 6-8 Żydów, a w innych miastach – Międzyrzec czy Zamość 8-10. Egzamin maturalny odbywał się przy udziale przedstawicieli kuratorium, a uzyskane matury były w owym czasie wielkim przeżyciem i wydarzeniem w życiu każdego młodego człowieka, a szczególnie Żyda. Tylko znikomy procent mógł podjąć studia wyższe. Większość podejmowała prace zarobkowe.

Dyrektorem gimnazjum był w latach 30. Pasternak, a z nauczycieli wymienić mogę Blumentala, Traunera, Tejwłównę, Jubla, Pecynera, Asza, Meldenkerna i jego żonę.

Nauczanie w gimnazjum było płatne, a tylko nieliczna grupa młodzieży korzystała z ulg, czyli ze zmniejszonych opłat. Część młodzieży uczęszczała do gimnazjów miejskich, gdzie opłaty były raczej symboliczne. Nauczanie podstawowe odbywało się w szkołach powszechnych. Była w Lublinie szkoła z językiem wykładowym żydowskim im. I. L. Pereca oraz jedna z językiem hebrajskim, tzw. „Tarbut Szul”, założona w 1927 r., która przetrwała do wybuchu wojny. Była również jedna szkoła podstawowa religijna dla dziewcząt, tzw. „Beit - Jakow”. Większość dzieci żydowskich uczęszczała do szkół miejskich z językiem wykładowym polskim.

Były również przedszkola-freblówki. Opłaty były jednak dość wysokie i tylko znikoma część dzieci żydowskich mogła z nich korzystać. Pewna część przedszkoli

prowadzona była przez towarzystwa dobroczynne, takie dla przykładu jak przedszkole przy Towarzystwie Kobiet.

Wszystkimi sprawami związanymi z nauczaniem dzieci i młodzieży żydowskiej zajmowała się organizacja szkolna „CISZO” – Centralna Żydowska Organizacja Szkolna.

Rozwojem słowa i szkoły żydowskiej zajmowała się prasa żydowska „Lubliner Tugblat” – dziennik oraz „Lubliner Sztyme” (Głos Lublina) – tygodnik, organ Bundu.

Drukarnie żydowskie, takie jak Szajdmesera, Federa i innych zajmowały się nie tylko drukowaniem modlitewników i ksiązek religijnych, ale i ksiązek żydowskich, a także przekładem z języków obcych.

Inteligencja żydowska miała swój „Klub Inteligencji” prowadzący szeroką działalność kulturalną. Na co dzień członkowie tego klubu spotykali się w kawiarni u Rutkowskiego, gdzie – jak mówili Żydzi – pije się wodę i płyny przez słomkę.

Bogatą działalność prowadziły w Lublinie kluby sportowe, z których pierwszy „Samson” powstał w 1918 roku. Kluby te patronowane były przez partie polityczne i związki zawodowe.

Wypada kilka słów powiedzieć również o stosunkach polsko-żydowskich w Lublinie. Na ogół układały się one pomyślnie. Nie było ani terroru fizycznego, ani przysłowiowych pogromów. Widoczna jednak i silnie odczuwana była walka ekonomiczna między kupcami polskimi i żydowskimi. Boleśnie dawały się odczuć „pikiety” przed sklepami żydowskimi na Krakowskim Przedmieściu, a upokarzające hasła w rodzaju „Nie kupuj u Żyda”, „Żydzi do Palestyny”, „Żydo-Komuna” i inne były na porządku dziennym. Bardziej uświadomiona część ludności polskiej, w tym poważna część robotników, zwalczała te tendencje antysemitki i protestowała przeciwko tym wystąpieniom. Organizowano wspólnie polsko-żydowskie pochody i demonstracje, np. majowe, BUND-PPS, wspólne strajki itp.

O dziejach lubelskiego okresu międzywojennego wydano wiele monografii, ksiązek, doniesień, artykułów i wspomnień. Niestety, ze smutkiem stwierdzić należy, że o jednej trzeciej ludności Lublina, jaką stanowili w tym czasie Żydzi, nie napisano zbyt wiele.

I nadszedł ten okropny dzień 1 września 1939 roku. Przy pięknej – jak wielu z nas pamięta – pogodzie, o godzinie 10 rano dowiedziałem się, że Niemcy napadli na Polskę. Nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy z całego ogromu groźby i z całej tej katastrofy. Nie przypuszczałem, nie wyobrażałem sobie, że oto rozpoczął się właśnie początek tragedii narodu polskiego i tragiczny początek okropnego losu i zagłady Żydów. Po 55. prawie latach, my, żyjący z tą straszną spuścizną, nie zapominamy. Pragniemy, chociaż w małym stopniu, utrwalić to, co jeszcze pozostało w naszych sercach i pamięci. Zdajemy sobie sprawę z tego, że wszystkie te miejsca, które zostały upamiętnione tablicami i nazwami, są tylko symbolem naszej pamięci. To tylko skromne nagrobki i macewy dla 40 000 Żydów wymordowanych w Lublinie podczas okupacji hitlerowskiej.

Taką też rolę odegrała wasza uroczystość, za co jestem bardzo wdzięczny wszystkim, którzy przybyli. To spotkanie ze wspomnieniami, co tu zostało pokazane jest mi ciągle bliskie i drogie i jednocześnie smutnie tragiczne i bolesne. Jeszcze raz wyrażam moje podziękowania organizatora za oddanie czci i pamięci wszystkim Żydom, którzy tak żyli od 5-6 wieków.